

BIBLIOTEKA „DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO” 1934 ROK

Nr. 10.

PAWEŁ WYSKOTA ZAKRZEWSKI

PAMIĘTNIK
WIELKOPOLSKIEGO POWSTANIA
Z 1863 ROKU

Edw. Żurawski

19

POZNAŃ

34

CZCIONKAMI DRUKARNI DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO S.A.

Siedemdziesiąt lat minęło od przedostatniej walki o niepodległość Polski, od powstania 1863/64 r. W r. 1913. obchodziła ta część ziem dawnej Rzeczypospolitej, która cieszyła się jakimi takimi swobodami, pół-wiekową rocznicę powstania styczniowego, nie przeczuwając lub przeczuwając niejasno i nieśmiało, że święcimy ją w przededniu, ostatniej już, a pierwszej szczęśliwej wojny o wolność narodową. I znów mija dwadzieścia lat; czas biegnie szybko, a w swym biegu niszczy pamiątki dawne, a może czyni jedynie miejsce dla nowych?

Dziś pomyśleć warto a nawet potrzeba koniecznie o ocaleniu tych materiałów, jakie się zachowały do dziejów naszego, walk wolnościowych. Niewątpliwie uczyniono już wiele, jeżeli się zważy warunki, w jakich odbywała się praca, ograniczona, mówiąc ściśle, do jednej właśnie dzielnicy dawnej Rzeczypospolitej, uczyniono nadzwyczaj dużo. Teraz atoli, kiedy badań naukowych nie krępują, ani nie ograniczają żadne więzy, kiedy na sześciu naszych



sługuje, ale pokazujący i to, co winno być ostrzeżeniem i przestrogą dla doby dzisiejszej i jutrzejszej.

Z tą myślą przewodnią oddajemy do rąk naszych Czytelników tych „kilka kart” z pamiętnika Pawła Zakrzewskiego. Są to notatki żołnierskie, na gorąco w obozie pisane na marginesach książki do nabożeństwa. Jest w nich zwięzłość żołnierska, ścisłość rzeczowa, brak upiększeń i tego rozblękitnienia, jakie ludziom i rzeczom daje perspektywiczna odległość. Być może, że czyniąc te swoje zapiski, Paweł Zakrzewski myślał o tem, że kiedyś (o złudo nadziei!), w wolnej już Ojczyźnie, opracuje je obszerniej, stworzy z nich nie kartki, ale prawdziwy pamiętnik. Przyszła doba powstaniowa, gorsza i smutniejsza od tego co ją poprzedziło. Zbrakło powstańcom warunków psychicznych, jakich wymagało pisanie takiego pamiętnika.

Czy mamy tego żałować? Sądzę że nie; te kartki luźne, te zapiski z książki do nabożeństwa wyjęte, mają swą własną wymowę, siłę i piękno, mają przedewszystkiem niezaprzeczoną wartość dokumentu.

JERZY KOLLER.

najwyższych uczelniach wiedzę historyczną reprezentuje poważny szereg katedr i uczonych, a kadry pracowników powiększają rok rocznie świeże zastępy młodzieży, nadeszła chwila odpowiednia, aby zobrazować tę najsmutniejszą i mimo swej bliskości najmniej zbadaną epokę naszych dziejów, dobę porozbiorową.

I jeszcze o jednej sprawie nie wolno zapominać; w latach niewoli, kiedy o tych wypadkach pisano, same warunki stwarzały pewien specjalny rodzaj nastawienia i ustosunkowania się do nich. Pisano „DLA POKRZEPPIENIA SERCA”, „DLA PODNIĘSIENIA DUCHA”; badacz, często raczej miłośnik niż łachowiec, oscylował pomiędzy nakazem ścisłości historycznej a pokusami tego „krzepienia” i „podniesienia”. Taki nastrój sprzyjał powstawaniu i narastaniu legendy a historia mniej była „MAGISTRĄ VITAE” więcej wieszczką i kapłanką „NARODOWEGO PAMIĄTEK KOŚCIOŁA”.

Dziś wiedza historyczna polska wyswobadza się z tych szacownych i cennych, ale bądź co bądź ograniczających nakaz bezwzględного dążenia do prawdy każdej ścisłej nauki, wymagań chwili. Na podstawie zebranych materiałów musi powstać obraz wszechstronny naszej przeszłości dziejowej, oświetlony bezstronnie, opromieniony uczuciem czci i miłości dla tego wszystkiego, co na tę cześć i miłość za-

DO PYZDR.

Wspaniały był wieczór kwietniowy. 10-go czy 12-go, bo nie pamięnę, wyszliśmy z domu i prosto z przed dworu nad Prosnę, gdzie miałem młyn i folwark. Przeprawa przez rzekę nie natrafiła na żadne trudności, gdyż był bród dla konnych a czółna dla piechoty, która przez młyn i tamę mogła się również suchą nogą na drugą stronę przedostać.

Z przed domu, już w ordynku puściliśmy się śpiewając „Pod Twoją Obronę”. Piechotę przeprowiłem najpierw, potem konie i furgon 4-ro konny z bagażami przez bród. Sam ostatni się puściłem. Ale mimo, że siedziałem na koniu wojskowym, mimo, że byłem dobrym jeźdźcem, nie mogłem sobie mej szkapy na kąpiel namówić. Męczyłem się przez jaki kwadrans. Moi ludzie z Turów błagają mnie bym nie jechał bo znak zły. Ale im wytłómaczyłem, że koń zły i dobywszy ostatniej przewagi, zmusiłem szkapsko do wody. Skoczył warjat na

Wawel Wyskota Zakrzewski był synem Konstantego, powstańca z r. 1830/31 poety wielkopolskiego i autora popularnego dawniej „Dobociana”.

Pełnił on w początkach 1863 r. służbę oficera pruskiego w pułku ułanów, stojącym w Ostrowie wielkopolskim. Uzyskawszy od swej władzy urlop zdrowotny, poszedł na powstanie, przyprowadzając Taczanowskiemu kilkudziesięciu ludzi.

Pod Rychwałem został mianowany rotmistrzem à la suite. Wrażenia swe zapisał, będąc jeszcze w obozie, w swej ksiąteczce do nabożeństwa. Dlatego też pisany nieco później pamiętnik zawiera dużo drobnych, lecz ścisłych szczegółów.

szliśmy do Łukomia i tam już z pewnością dowiedziałem się, że Taczanowski stoi z znacznym oddziałem w Pyzdrach. Ruszyliśmy w tę stronę i trzeciego dnia nad ranem stanęliśmy nad rzeką. Spotkałem wedetę z trzech ułanów złożoną. Pytają: kto tam, daj hasło. Mówię: idę do obozu, swój — hasła nie znam, ale dla rozmowy pójdę sam. Odpowiadają: prosimy — podjechałem. Stali tam, jak się później dowiedziałem, Gutowski*) i Potworowski, dwaj osiedli w Kaliskiem obywatele. Z pompą, choć jeszcze w ciemnicy wszedłem do Pyzdr i poszedłem zaraz do sztabu zameldować się. Taczanowski wyszedł by odebrać przyproawdzone zastęp. Hegner dostał moich ludzi jako zawiązek 3-ej kompanji strzelców — mnie chciano do sztabu, ałem się wyprosil i za moją wolą przeznaczył mnie Taczanowski do ułanów. Gdy rano o 7-ej był apel, przydzielono mnie do szwadronu (30 koni) Jaraczewskiego. Dzień później jako podporucznikowi dano mi 3-ci pluton.

Tu następują dwa tygodnie ciężkiej służby. Najpierw trzeba było dzień i noc na koniu siedzieć, ludzi musztrować, furażować, podjazdować i mieć pieczę około bezpieczeństwa całego obozu. Służyło nas zrazu trzech oficerów: Stefan Zakrzewski, Pieniążek i ja — Jaraczewski

*) Teofil G. dziad Bronisława G. z Jasionny (ziemia Kaliska).

głębię, przez co doznałem, że woda w kwietniu zimna. Nie miałem czasu się przebierać, wylałem wodę z butów i zająłem się moderowaniem ludzi. Rozdano ładunki, odliczono broń, sekce urządzono i o wschodzie słońca ruszyliśmy ku komorze rosyjskiej. Moniuszko powiedział mi, że stoi tam 32 koni. Mając tylko 12 niewyrobionych i niepewnych, postanowiłem mimo to odważyć się. Uszykowałem więc piechotę w zagajniku poza górką, po dwóch stronach traktu, a sam w sześć koni puściłem się ku komorze.

Słońce już było wstało — widzę, że Moskale się moderują, na koń siadają. Tedy mówię moim chłopcom: jak na nas ruszą, to kupą się cofnąć, a gdy im nasi dadzą w bok, to na nich wsiadziemy. Ale cóż, my tak sobie jedziemy stępa, a moi dragoni w nogi, że aż się piasek zakurzył. Foszli sobie do Kalisza, ja nie goniłem ich, ale zato wróciłem do moich i poprowadziłem ich ku Łądkowi na Grójec Pierwszy popas czyli spoczynek mieliśmy w lesie, naonczas należącym do Taczanowskiej. Nic nadzwyczajnego nie zaszło. Dowiedziałem się tylko, że stoimy na pozycji między Choczem, gdzie 2000 Moskali przehywa, a Stawiszynem, dokąd 1500 przyprowadził Witgenstein. Ruszyłem więc co tchu, aby się z tego impasu wy dostać. Nazajutrz byliśmy już w Biskupicach, gdzie ogłosiłem Rząd Narodowy, zabrałem furaz i koni dobrych coś dziesięć. Z Biskupic po-

któryby w ucieczce szukał ratunku. dostałby się albo do kozy pruskiej, albo musiał utopić się w nurtach Warty.

Sily nasze zwiększyły się o 70 ludzi z powodu, że oddział Francuza Fauché'go, stojący w Ratajach (200 ludzi) nie chciał się poddać pod rozkazy Taczanowskiego i dlatego raczył tylko 70 ochotnika nam przysłać. Równocześnie z tym ochotnikiem przybyło nam coś ludzi z Poznania, między innymi Działyński*), który po odbytej na granicy rewizji do obozu dał nogę. Z Fauché'm przyszedł Turno**), Mańkowski, M. Kosiński i wielu innych z Księstwa.

Pozycja nasza była wybrana na wzgórzystym boku, porośłym małym zagajeniem. Tam stanęła nasza 1-sza i 2-ga kompanja, Lewińskiego i Kaloskiego — następnie stanął ochotnik z oddziału Fauché'go. W rezerwach poza pierwszą linią stanęli kapitanowie Hegner z 3-cią, Osten z 4-tą kompanją. Pomiędzy naszym prawym skrzydłem, które żadnego oparcia nie miało, szedł trakt do Zagórowa. Tysiąc kroków za naszymi linjami stały trzy działa bez wartości, dla strachu tam zatoczone. Poza działami były furgony przy grobli wiodącej do Pyzdr, a za niemi kawalerja na łące.

*) Jan D. z Kórnika.

**) Witold T. z Słopanowa, syn Winczarskiego, a brat Hipolita z Objezierza.

rotmistrz nie czynił służby. Po 10-ciu dniach przyszedł Miśkiewicz jako major. Dano mu komendę nad całą jazdą — z nim przybyli Malusiewicz Ostoja i Bronikowski. Szwadron zwiększył się do 86 koni — 4-ty pluton otrzymał Bronikowski. Z każdym dniem przybywało nam ludzi i broni — oddział zrazu 30 koni i 250 ludzi liczący, wzrósł do 28-go kwietnia do siły 890 ludzi. Dnia 29-go kwietnia o 6-ej rano wyszliśmy na pozycję za Wartę.

Zrazu myślałem, iż będzie manewr jak zwykle dla wprawy. Ale niebawem p. Kostanecki przywiózł nam wiadomość, iż idą Moskale. Stefan Zakrzewski poszedł z podjazdem i na skrócie natrafił także na podjazd moskiewski. Oba podjazdy wystraszyły się, zawróciły i dały nura. Nasza piechota zaczęła zajmować pozycje. Ponieważ zaś około 20-go kwietnia przybył do nas z Francji major Strzelecki, dawny uczeń szkoły podchorążych z 1830 r., a tu pełnił przy sztabie urząd szefa, przeto tenże major, który sobie zaskarbił przywiązanie i miłość obozu, rozprawdzał oddziały, szykując i ucząc jak sobie postępować mają.

Według mego zdania pozycja była źle wybrana bo nie baczono ani na tyły, ani na skrzydła. Nasze lewo opierało się o łąkę nad Wartą, tyły o Prusaków, ale z takim odstępem, że nie było możliwości w razie przegranej ratować się. Prusacy ściśle obsadzili granicę, każdy więc,

bitwa Nikt nie miał jednak ochoty posuwać się naprzód

Moskalami komenderował pułkownik Oranowski Nasi strzelcy stali na miejscu — Moskale tudzież — strzelano do siebie nawzajem. Około drugiej prawe moskiewskie skrzydło ruszyło naprzód. Za pagórkiem leżały dwie kompanie kosynierów. Gdy nieprzyjaciel się zbliżył, Garnier, komenderujący nimi, zerwał się z chłopami i odpędził Moskali w nieładzie. Późem kosynierzy znów się położyli za pagórkiem i śpiewali sobie Garnier na górcę za sobą strzelał z amerykańskiego 16-strzałowego karabina. Za każdym trafionym strzałem zdejmował siwobarankową czapkę, a chłopcy wołali „Hura”. Czy tam za każdym razem Moskał zadarł nogami, nie wiem, a nawet wątpię — ale częste „Hura” kazało się tego domyślać.

Około 3-ej przynosi adjutant Malczewski czy Murzynowski do kawalerji rozkaz aby podjazd zrekonoskował nasze tyły, bo podobno Witkenstein idzie z Kalisza w 2200 ludzi. Miśkiewicz każe mi wziąć 25 koni i zbadać sytuację. Idę tedy na Cienierów, Tomica. W Tomicach dają mi znać, że Moskale zatrzymali się w lesie Cichuteńko spieszę na górkę, aby ich zobaczyć i widzę kolumnę zmierzającą w kierunku Zagórowa. Zrozumiałem, że Witkensteinowi nie chodzi o nasze tyły ale o połączenie się z Oranowskim. Odczekałem nieco

Chociaż jestem i byłem żołnierzem, nigdy zrozumieć nie mogłem, dla czego postawiono kawalerję bez zakrycia i bez potrzeby na gołem polu. Wprawdzie Moskale strzelając do nas ciągle z armat, przy Bożej pomocy, nie zrobili nam szkody, ale mogli zrobić. Poco armaty nasze wyprowadzono z Pyzdr też nie wiem. Bo pomimo, że Dr. Niegolewski zaczął robić porządek w mieście i z adjutantem Koszutskim zbierał dla jego obrony pospolite ruszenie, to ewentualnie w mieście, gdyby było atakowane, mogły trzy te głupie armatki zdać się na coś, ale w polu nie miały znaczenia. Komendant ich Władysław Zakrzewski, stojąc przy działach o 2000 kroków od Moskali, dostał postrzał w nogę. Odwieziono go do miasta, a potem do Księstwa, gdzie w Kretkowie lizał się przez trzy miesiące.

Stoimy tedy i czekamy z godzinę. Posyłają znów podjazd, który powraca mówiąc, że „okropna” potęga Moskwy się wali. Niedługo potem padają na naszych tyraljerskich linjach pierwsze strzały. Jedna też rzecz bardzo mnie zastanowiła, a mianowicie: przychodząc na pozycje z Pyzdr, trzeba było iść gęsiego przez deski na moście położone. W razie porażki jak byśmy też byli wracali? Ale wracam do rzeczy. Działo się to wszystko około godziny 7½ rano. Zwolna ku południowi zaczęła się ożywiać

pari się i ani rusz naprzód, ani wtył. Parzę, za mną na paręset kroków rozpięzeli się ułani.

Syrokomla woła naprzód i do mnie się zbliża — a ja pytam: z kim mój chłopce. — Wziął mi konia przy pysku — ruszył pod żelazami, których mu nie żałowałem. Rozszedł się potem, a gdy Syrokomla dostał jakąś szkapę, puściliśmy się by zbierać ułanów. Uformowałem ich za wzgórzem, za naszymi tyraljerami, posyłając raport do sztabu przez podoficera Złotnickiego.

Część naszych junaków dostała się, idąc na lewo drogą, na puste miejsce. Pokazali się więc nieledwie na tyłach nieprzyjacielskich. — Bez szwanku wracają co tchu. Po drodze Budziszewski natrafił na rotę Moskali — dali doń ognia i przepędzili mu kulę przez rękę na zebra, gdzie też uwięzła. Wrócił więc do rezerw i ambułansu. Chorewał przez dwa lata na tę ranę i skutkiem jej umarł.

Po naszej szarży Moskale zaprzodkowali działą i w nogi — także i lewe skrzydło ruskie zaczęło się cofać skutkiem ponownego ataku kosynierów. Noc też niebawem miała zapasć. Nie czekając więc ostatecznej swej zagłady, cofnęli się Moskale wraz z nadesłanemi posiłkami do Zagórowa — my zaś otrzymawszy plac boju, wróciliśmy do Pyzdr.

I potem dalej, które na swoje miejsce. Przyznać się muszę, że gdy znów w ogień wjeżdżałem, zaczęły mi dreszcze przechodzić po skórze. Bo jak się raz stoi w ogniu, to się człowiek otrząska, szczególnie gdy ogień nie bardzo gorący. Ale wyjechawszy na bezpieczniejszą ostoję, wracać by stać na pozycji, to jednak głupie uczucie.

Powróciwszy na miejsce, pojechałem do sztabu z raportem. Dano rozkazy, aby nacisnąć całą siłą — ruszono rezerwy. Taczanowski posyła do kawalerji rozkaz, by szarżowała na działa stojące w centralnej pozycji, t. j. nad traktem zagórowskim. Miśkiewicz bez komendy woła: naprzód marsz — nie wiemy jednak dokąd. Ja kazałem moim ułanom popregi dociągnąć, Matusiewicz swoim także. Prowadzimy nasze drużyny zachęcając do porządku. Tak rwiemy galopem po piasku z 2000 kroków, konie zaczynają sapać. Na paszem czele rozpoczyna się wyścig Miśkiewicz, Pieniążek Błociszewski, Stefan Zakrzewski, Jaraczewscy, Budziszewscy i t. d. pędzą bez pamięci. Przy szwadronie zostajemy z Matusiewiczem i kierujemy się na armaty. Wbiegamy nareszcie na wzgórek na trakcie. — Jak utną do nas kartaczami... Obejrzę się — ten na lewo to Błociszewski, koń Gutowskiego potrzelony, a Syromkli, co nosił proporzec, koń zabity. Mój ogłuszony kartaczem czy kulą karabinową, roze

rzy byli wyszli z Witgensteinem do Zagorowa. Ja temu nie bardzo wierzyłem.

Zaszliśmy aż do Chocza. Tam doszła nas wiadomość, że Moskale stoją w Olesku o 1/2 mil od nas. Ja komenderowałem tylną strażą, nie pomnę kto szedł z przednią, podobno Matusiewicz z 3-cim plutonem.

Gdy się o Moskalach dowiedziano, posłano ze sztabu Miśkiewicza z nocnym rekonesansem naprzeciw. Spotkał się on w Olesku na podwórzu dominialnem z 30 konnymi dragonami granicznymi pod wodzą kapitana. Nasi ułani uderzyli na nich — piechota następowała tuż. Moskale w rozsypkę ku rzece Prośnie, nasi za nimi. Wydusili coś 15-tu. Równocześnie podchmielony już kapitan wypada z karczmą. Wsiadającego na koń ciął podoficer Miśkiewicz w oczy — tamten zaczął skakać dobywszy pałasza. Wołają nasi: podaj się, krzycz pardon. Moskał, aczkolwiek widział się otoczonym, woła: Ruski nie kriczi pardon, bronił się — i rzucił się na otaczających z szaszką. Podoficer Torczyński ciął go w głowę, a najmłodszy Miśkiewicz strzelił doń z rewolweru i zabił dziecinnego, choć pijanego oficera.

Reszta dragonów przebyła Prosnę we wsi Rakutowo i przez Turek, Jedlen, Kuchary udała się bez przeszkody do Kalisza.

Po tym akcie Taczanowski rozkazał trąbić na koń i udaliśmy się w Brudzewskie, a póź-

Postanowiono placówki, grangardy, wysłano podjazdy — a reszta na „le Deum” do kościoła się udała. Ja poszedłem najpierw do kościoła, a potem do sztabu po rozkazy. Pierwszy to raz dnia tego u Maryańskiej zjadłem kawał mięsa — potem na koń, na podjazd pod nieprzyjaciela.

Wróciłem nad rankiem. Jaż byłem z raportem w sztabie, już nas zaczęli z Pyzdr wychodzić — dokąd nie wiedziałem. Ja zostałem z arjergardą.

Tu nadmienić mi wypada, że Jaraczewski posłany był dwa dni przed bitwą pyzdorską do Brdowa do Jung-Blankenheima, aby się z nami złączył. Odmówił — nazajutrz pobił Moskali pod Nową Wsią, ale zato rozbili go oni pod Dobroszowem i Babiakiem i to w ten sam dzień cośmy się bili pod Pyzdrami.

Mówiono mi, że niechciał się poddać pod komendę Taczanowskiego. Czy tak było nie wiem, ale przypuszczam, że tak, bo zawsze Francuzi chcieli rej wodzić. Nawet taki głupi Fauché z 200 ludźmi chciał mieć niezależne stanowisko. Później przekonałem się, iż tak było wszędzie, że jeden nie pomagał drugiemu, a przez to dokładał ręki do ogólnej zguby.

Pyzdry opuściliśmy 1 maja. Maszerowaliśmy w kierunku na Kalisz — mówiono że mamy uciec to miasto przed Moskalami, któ-

z rekonesansem. Nie bardzo jednak odpocząć mogłem gdyż Miśkiewicz prosił mnie, abym co wyręczył w jego czynnościach. Trzeba więc było wykomenderować po furaz, wysłać podjazd dla wyjaśnienia sytuacji, słowem dopilnować porządku w całej kawalerji.

Pomimo to, kazałem sobie jednak posłać słomy pod brzoza, a tymczasem obejrzałem się czyby nie było czego na ząb. Wiedziałem że T Gutowski ma zawsze dobrze naładowane sakwy — służył on bowiem w moim plutonie. Odszukawszy go pytam, czy ma co do zjedzenia — odpowiada, że ma indyka pieczonego. — Ucieszyłem się, gdy mi ofiarował udo, które z prawdziwą przyjemnością spożyłem. Potem wysłałem podjazd, do którego Gutowski też należał. Wracając do mego legowiska spotkałem ułana okrutnie zafrasowanego i poznałem w nim drugiego Gutowskiego, brata tego co mnie indykiem częstował. Pytam, co mu jest — odpowiada, że niemożliwie jest głodny, a żadnego pożywienia znaleźć nie może. Był to młodzienczek trochę niezaradny — szczęściem miał nad nim pieczę 40-letni brat starszy, dzielny żołnierz, ojciec 4 dzieci. Mówię mu tedy: idź do biwaku, brat ma kolację, a nie martw się. Poszedł, ale nie wiem czy indyka odszukał, czy nie.

Dziś odpoczywa w spokoju, umarł kilka lat potem — świeć Panie jego duszy.

nieł w Grojeckie lasy. Na noc biwak był lichy, bo deszcz lał, słomy było mało, łurażu nie.

Posłałem 6 ulanów, aby wyszukali coś obroku dla koni — przywieźli nieco siana. Jakiś kapitan kosynierski ze swoją komendą, rzucił się na wóz — zaczęło brać owe siano dla zrobienia sobie postania. Mnie jakoś pokusiło wyjść na spotkanie. Musiałem więc płazować pałaszem napastników, aby koniom kołację ocalić. Podobno ów kapitan też dostał po grzbiecie. Obroniłem wprawdzie siano, ale narobiłem sobie ambarasu, bo musiałem meldować co zaszło.

Z tego biwaku wyruszyliśmy nadedniem na Grodziec do Dobroszyna. — Przed wsiami w małej brzezynie znajduje się jakiś mały folwarczek, zdaje się, do Grabienic należący. Tam na noc znów nam przyszło stanąć obozem.

Nieprzyjaciel koncentrował się w Rychwale. Podobno Witgenstein stał tam w 2000 ludzi z 6 armatami — tak brzmiały raporty Oranowski miał 1500 ludzi w Koninie. Taczanowskiemu zaś chodziło o to, aby przejść szosą prowadzącą z Rychwału do Konina i w Kole podać sobie rękę z Oborskim stojącym pod Kłodawą, czy jej okolicy.

Stanęliśmy więc obozem w owej folwarczynie. Ja pierwszy raz od początku mej służby obozowej miałem noc wolną, a raczej nie jeździłem ani z objazdem naszych placówek, ani

Mówię tedy do ulana, zdaje mi się, że był to Józef Chłapowski — weź go na powroz, a jak się ruszy, pal mu w łeb.

Równocześnie zwracam się do żony soltysa i oświadczam jej, że o ile rozkaz nie będzie w oznaczonym czasie wykonany, mąż pójdzie na galąź.

Nie minęło 15 minut a już stoją ludzie gotowi do pracy. Prowadzę ich do brzeziny i każę ciąć — tniemy.

Koniom coś tam dano poskubać trawy i pić — około 4-ej robota skończona — wracamy.

A już tu rozpoczynała się od frontu coraz to lepsza kanonada. Granaty warczą, ale nam stojącym w lesie nie czynią szkody

Wracam do kawalerji, przesiadam się na innego konia i jadę do sztabu z raportem. W tymże czasie nasze prawe skrzydło zaangażowane jest z tyraljerami ruskiemi — nasi stoją, tamci się colają. Nie znając sił naszych, nie mają ochoty na atak.

Przyjechałem do sztabu, a tu zjawia się podoficer Złotnicki z meldunkiem, że oddział Moskali konwojuje dwa wozy jadące szosą do Konina.

Tedy major Strzelecki powiada do mnie: — Weź pluton, rozpędź tamtych, a wozy przyprowadź do obozu.

Pytam: — a można z ochotnikiem

Odpowie: — jak chcesz.

RYCHWAŁ.

Przed świtaniem zatrąbiono na alarm — jakiś oddział nieprzyjacielski miał się pokazać. Stanęliśmy pod bronią, ale niebawem pokazało się, że żadnego moskiewskiego oddziału nie było. Poszliśmy na Dobroszyn i około południa stanęliśmy na skraju lasu, frontem ku Rychwałowi.

Szedłem z awangardą, rozstawiałem czaty i pojechałem z meldunkiem do sztabu. Strzelecki, zobaczywszy mnie mówi:

— Widzisz tę brzezinę, co nasze prawe skrzydło od szosy przedziela?

— Widzę majorze, — odpowiadam.

— Spędzić chłopów i wyciąć je w pień.

Skoczę do stanowiska kawalerji, wezmę 6 tianów i dalej do brzeziny.

Była tam kolonja olędrow — stanąłem przed sołtysem. — Wołać go — krzyknę. Przychodź wystraszony Niemiec. Polecam mu, aby dostarczył mi w przeciągu kwadransa 30 chłopca z siekierami. Mówi — dobrze, — ale jakoś ma się ku lasowi.

i sztandaru. Ów chłopiec pierwszy wpadł na dragonów. Jak łupnie na odlew pierwszego z brzegu, tak mu zaraz czaszkę od twarzy oddzielił. Jaraczewski przewiercił cały oddział moskiewski, szukając dowódcy. Ale gdzie tam, ów siedział na świeżym koniu, nie dogonił go.

Jak moi chłopcy zmieszają się z dragonami (choć prócz mnie i Jaraczewskiego było ich, pod słowem honoru, tylko 13-tu), jak zaczną rąbać, tak Moskale broń rzucają — Debandada kompletna. Ja gonię wachmistrza, co siedział na szpakowatym dońcu. Dojeżdżam go i spuściwszy pałasz na temblak, chcę dragona za kark schwycić. Ten puszczając szaszkę odwraca się i pali mi z pistoletu prawie w twarz. Aż mi proch wąsy osmalił. Tak powiedzieć mogę, boć strzelał o 1½ metra. Rozgniewałem się. Chwyciwszy za pałasz, pchnę nim mojego wachmistrza. Spadł z konia — myślałem, że go na wylot przebiłem, bom był chłop silny. Ze wstydem jednak przyznać się muszę, że sztychem tym nie przedziurawiłem mu nawet szynela. Zajadę drugiego co podle mnie jechał. Jak tnę z rozmachem przez bermycę, spadł — ale też mu czapki nie przeciąłem. Tak to jest w gorącym boju. Zdaje się człowiekowi, że jest w stanie byka ściąć, a tu czasem ledwieby muchę zabił. Było tego wszystkiego nie dłużej jak kilkanaście minut. Na śmierć spadło 5, ciężko rannych 6, a 15 wzięliśmy do niewoli. Potem

Jadę więc do kawalerji i komenderuję:

— Pierwszy szwadron na koń i front, —
a potem:

— Na ochotnika ze mną 15 koni.

Ci, którzy się zgłosili byli prawie wszyscy z mojego plutonu. Napiwszy się gorzały, zakąsili słoniny i potem trójkami od prawego kłosem marsz.

Jedziemy we wskazanym kierunku ku szosie. Przed nami jakieś błotko — utknął w niem jeden ułan. Najeżdżamy na opłotki pod olędzami Dobroszynskimi, znów drugi ułan spada z konia. Wyjeżdżamy na oziminę, a słońce się spuszcza ku zachodowi. W ten słyszę że coś tętni za nimi — to major Jaraczewski pędzi na ochotnika. Wsadził szkiełko w oko i rżnie aż woda po oziminie pryska.

Patrzę przez szkła i widzę, że na szosie stoi 20 par dragonów — błyszczą ich muszkiety. Krzyknę więc: formuj się, lecz nie pewny jestem co zrobić, bo wozów dostrzec nie mogę. Ale Jaraczewski, jak ich dojrzał, zaraz marsz marsz na nich. Nie było już nad czem się zastanawiać, komenderuję więc: naprzód pędem, marsz.

Było do Moskali z 200 kroków. Dali do nas ognia, a potem w nogi. Nam nic się nie stało. dojechaliśmy ich na pierwszej wiorście, Syrokomla, ten co proporzec nosił, przyłączył się także do nas. Był oczywiście bez lancy

obijał. Dano mi więc kompanję strzelców, kompanję korywieńców i dwa plutony ułanów. Ostoi i mój. Już kawał z północy ruszyło więc straż przednia, nie pamięć kto ją prowadził. Potem szła się kawalerja, kolumny maszerują. Ja swoim własnym kuzalem zająłem słodką, papież gorzelną — w oznaczonym czasie idziemy przez Władysławów, Chylin do Kościelca pod Kolem.

Było to 6-go maja, upał zaczął nam dokuczać. Raz po raz widziemy za nami Moskali — to piechotę, którą podwodami podwoją, to kuzaków. Około 9 ej rano wchodzimy do miasteczka Władysławowa. Mnie koń mój frontowy zaczął ulegać na przednią nogę, zgubił bowiem podkowę w tej awanturze na stacie. Zawolałem tedy mojego ordynansa i kuzalem mu trzymał końca do końca. Sam zaś wypuczyłem sobie dwa plutony poza miastem w tyraljery, by nieprzyjacielowi następującemu zęby pokazał, a owa dwie kompanje piechoty wyprowadziłem w przeciwnym kierunku z rozkazem podciągnięciu się pod nazwę „grus“.

Zostawiaj sam w mieście, czekam aż kawał robotę swą ukończysz. W tem pędzi jeden ulan, potem drugi, potem i szwarta, bo ich Moskale spędzili. Zatrzymalem chłopców, koń u im front formował — góderuje ich tam jeden Ostoi.

Kozacy, którzy już do miasta dojechali, jak zobaczą naszych gotowych do starzy, tak

nie: dowiedziałem się na wóz chłopski pełen pistoletów polowych i maszynówek — kasa zdobytych 21. Z tą zdobyczą wędrujemy do skoru.

Dr. Nagolewski wycedził mi apokaliptyczne słowa. Jako audytor odebrał wędrówkę. Brzdękaliśmy do lasów, kopie do ciastych lasów.

Ledwieśmy oddali łopy, a już tręba na kon. Ogrom rozpalono obrót. Jeste, co kto zaczął gotować, to kazano powyrzucić. Pospiechali zalecono jak mój kuzyn — zapomniałem nawet w 1-szym plucie strzelać z ulanów a płacówek, zdaje się Prejzera i Pulowitęgo. Ja dostalem rozkaz, aby z przednią strażą iuzyci ku Żuliszkowu.

Maszerujemy całą noc, a strażyl armatni ciągle słychać — tak walili do naszych ogniów parowie Moskale. Już byliśmy więcej jak mi o od naszej parycji, a jeszcze słychać było ogień dzelowy.

W Tułiszowie „stój”. Stawiam kurtkę, gwardy — na prośbę wiec zstah się zorganizować. Poszedłem po sukony i aby się dowiedzieć co będzie dalej. Strzelecki podchodzi do mnie i pyta się, jak to tam było pod Rychwalem — podaję szczegóły. Powiada: jutro będzie rozkaz dzienny ogłozony — maszerujemy jeszcze zotmistrzem, ale to jest już dwóch a tylko z szwadrony, presto musisz tymczasowo, jak do tej pory, prowadzić pluton. Zastulowiskiem śpytam o rozkazy. Polecono mi, aby tylnia straż

6 koni złożony, ku Kaliszowi, trzeci ku Koninowi. Strzelcami i kosynierami obsadzani podwórze nakazując równocześnie podwoły, ile ich tam będzie. Do Kreutzowej posłałem też po jakieś pożywienie. Przynoszą worki z chlebem, dla oficerów trochę wina.

Podczas gdy naszych częstują, ja baczę co się dzieje. Przybiega ulan z raportem, że od strony Kalisza spokój — wjechał na pagórek, jak okiem sięgnąć nic nie widział. Zato od zachodu bieży drugi ulan i melduje, że wozy z wojskiem i kozacy ciągną od Konina. Powiadam mu: dobrze, to im gwinty sprawimy. — Aż tu pędzi trzeci ulan, a za nim reszta, zwiastując, że Kozunie już niedaleko.

Nie tracąc czasu, zbieram co było konnicy i rzucam ku Chylinowi we flenkiery. Spojrzę na szosę wiodącą do Koła — jeszcze 10 minut, a dobra nasza.

Stwierdziwszy ten stan rzeczy, mówię do kapitana Unruga: Wyprowadź kompanię poza te dwa budynki, jak sprowadzę do Ciebie Kozuniów, to ich wydusimy.

Nic z tej imprezy nie wynikło, bo gdym skoczył do flankierów aby zobaczyć co się tam dzieje, stwierdziłem, że Kozacy się cofnęli, postrzegłszy, że Kościelec zajęty.

Mały więc narazie spokój z tej strony. Patrzę przez szkło ku Koninowi i widzę, że coś w mundurze jedzie bryczką. Wóz dojeżdża,

w nogi. Maszerowaliśmy potem może przez 2 godziny nie widząc za sobą nieprzyjaciela. Dopiero gdy oddział nasz wsunął się do lasu chwylńskiego, gdy znikła w nim również tylna straż, dopiero wtedy, mówię, ujrzałem na wozach piechotę moskiewską. Rozwinałem więc pod lasem moje dwa plutony w linię flankierską i czekam. Tamci spostrzegłszy mój manewr znów się zatrzymali. Odczekawszy tyle czasu ile potrzebowała piechota, aby przejść przez bór, zwinąłem ułanów i połączyłem się z oddziałem.

Zaraz za lasem jest wieś, położona na wzgórku, a należąca do generalowej Kreutz. Za budynkami jest szosa prowadząca z Kalisza do Koła i łączy się w samym Kościelcu z drogą, zdaje mi się, Konińską. Podaję te szczegóły dla lepszego zrozumienia późniejszych wydarzeń.

Jesteśmy tedy w Kościelcu — w tem przyjeżdża do mnie Strzelecki i biorąc poufnie na stronę powiada: Oddział nasz idzie do Koła, do którego 6 wiorst. Choćby was do jednego wbić miano, musisz miejsce utrzymać. Jak storsują tę pozycję zniszczą nas artylerją — a więc liczę na ciebie.

Myszę sobie, w szczególniejszą mnie tu znacznie wpędzili, ale kiedy mus, to mus.

Jadę do moich i komenderuję rekonesans na trakt, którym szliśmy co dopiero, a drugi

KOŁO.

I tak wycofaliśmy się szczęśliwie i bez szkody z tego terminu. Na zakręcie 6-ej wio-
sty, był na drodze most, z obu stron, błoto. Ja-
koś przecuciem wiedzony, pędzę co koń wy-
skoczy do miasta i dojrzawszy burmistrza wo-
łam: chłopów z siekierami, jeżeli panu życie
mię. Szukam sztabu, ale znaleźć go nie mo-
gę. Spotykam się jednak z Niegolewskim i mó-
wię do niego:

— Nie mogę porozumieć się ze sztabem,
a tu gwałt, trzeba rąbać most na tyłach — nie
mam rozkazu.

— Rąb na moją odpowiedzialność, — od-
powiada.

Wracam tedy na rynek, gdzie chłopci z sie-
kierami już stoją. Stoi tam również kapitan
Sondex, Francuz. Mówię mu: — Daj pan swych
ludzi, jest rozkaz zabezpieczenia tyłów. —
Naturalnie Francuz daje kilkudziesięciu ludzi.

Biorę kosynierów i moich ludzi z siekie-
rami na podwoły z Kościelca i dalej rąbać
i palić most. Gdy nasi pracują, nadjeżdża sot-

okazuje się, że to burmistrz z Koła. Puszczam go z poleceniem, aby nam była wygoda w mieście.

On mówi: Niedługo zagrzejecie, bo za godzinę będą tu Moskale z Konina.

Dziękuję — rzeknę — ale tymczasem bądź pan gościnnie i spiesz się do Koła.

Jadę potem na podwórze Kościeleckie i każę podwodom zajeżdzać. Wychodzi 5-ta kompanja Unruga śpiewając marsza Taczanowskiego. Również i 5-tą kompanję kosynierów Thiela pakujemy na wozy i: marsz, marsz do Koła. Ułanów też nie potrzebowałem zbierać, bo podjazdy wróciły, a reszta stała we wsi. Naturalnie, że co się działo za podwórzem nie mogliśmy na razie widzieć. Wyprowadziłem więc jeszcze raz całe moje 50 koni ku Chylinowi. Kozunie, którzy z ciekawości byli ku nam podjechali, zobaczywszy kawalerję — w tył. Ja zaś zakomenderowałem: trójkami od prawego, marsz, marsz..., do Koła naturalnie.

Tak trwaliśmy przez 6 godzin. Raz tylko zaatakowali Moskale targowisko, ale dostali salwę i cofnęli się. Podczas gdy u nas panował względny spokój, wrzała, począwszy od południa, bitwa o młynek, który nasi trzymali dzielnie i też utrzymali. Jak się zrobiło ciemno zapłonął wielki magazyn siana na prawym brzegu Warty. Mówiono, że to miał być sygnał dla Moskali — sądzą jednak, że to raczej eksplodujący granat suche siano zapalił.

Skoro ucichło koło młynka, a tylko działa przerzucały nam raz po raz kule, wołają mnie do sztabu. Bierze komendę Hegner, a ja idę do Taczanowskiego. Mówi mi: „weź ze dwa plutony i jedź w kierunku Kłodawy. Tam stoi w pobliżu Oborskiego Kostanda — ten magazyn zapalony, to sygnał dla niego. Podjedź i dowiedz się co tam jest”.

Nikdy nie krytykowałem rozkazów wodza i wypełniałem je ślepo. Poszedłem więc, choć przekonany byłem o bezcelowości zlecenia. Wiedziałem bowiem, że Moskale nigdy nie maszerowali w nocy. A potem, gdy 5 dróg do Kłodawy prowadzi, któż może przewidzieć, którą nieprzyjaciel obierze. Była to niepotrzebna męczarnia ludzi i koni.

No, ale rozkaz był rozkazem, więc go wykonałem. Ułani kleli, bo nie pozwoliłem im palić ani cygar ani papierosów. Posuwaliśmy się cichutko, ostrożnie, nieomal po macku, -bo

nia Kozaków — dają ognia. Zabili jednego od siekiery. Most jednak naftą oblany pali się płomieniem. Nie mógł już Witgenstein przeprowadzić przez niego armat, czego dowodem, że później tylko granatami nas obrzucał, a na środek naszej pozycji nie użył kartaczy.

Kompanja Unruga i Sondex'a zajęły przednią pozycję, mianowicie młynek i jedno zabudowanie. Moskałom chodziło również o tę pozycję — zaczęli więc kwapić się o jej zdobycie. — Rozpoczęli silny ogień — zginął Sondex, zginął Unrug. Ludzi jego zastąpiła 1-sza kompanja Lewińskiego, a Turnie*) dano komendę na młynku, przydzieliwszy mu jeszcze 2 kompanje kosynierów. Dowodził nimi Gannier, ten sam co prowadził szarżę pod Pyzdrami.

Ostena 4-ta kompanja zajęła szanicy na zachód od Klasztoru Bernardyńskiego, lekarze zaś urządzili lazaret w refektarzu. Przez cały czas obrzucano nas granatami, ale te nie wielką krzywdę czyniły. Kawalerja stanęła w magazynie solnym.

Mnie dano pod komendę północną część miasta — to jest miałem strzec mostu na Warcie, który był do połowy nadpsuty, oraz świnińskiego targowiska. Tu stanął Hegner z 3-cią kompanją, 2-gą rozłożyłem po obu stronach mostu.

*) Witold T.

wy rzeki wjeżdżali. Coby się było z nami stało, gdyby 300 koni było wpadło na kolumnę, nie ledwie $\frac{1}{4}$ mili długą. Wprawdzie oddział liczył około 1500 ludzi, ale cała piechota na wozach siedziała.

Siły nasze, jak to dnia tego wieczorem w sztabie stwierdziłem, były następujące: 6 kompanji strzelców od 100—80 ludzi, 6 kompanji kosynierów również od 100—80 ludzi, wreszcie 2 szwadrony kawalerji, liczące razem mniejwięcej 300 ułanów.

W drugim szwadronie Szumana był Prądzyński i Bronikowski. Ludzie ich jeździli wprawdzie na podjazdy, ale nie widziałem nigdy, aby który z oficerów pełnił jakową służbę czyto wewnętrzną, czy zewnętrzną. A byłiby się nam okrutnie przydali, bo czynności nasze stawały się coraz to uciążliwsze.

Bardzo mi ulżyło, gdy wydostaliśmy się z rejonu, w którym szkodzić nam mogły armaty moskiewskie. Już bezpieczni, zatrzymaliśmy się po drodze na popas w Cieninie. Kawalerja stanęła na wzgórku niedaleko od wiatraka — taka grangarda była bardzo wygodna, gdyż widok był rozległy. Po kilkugodzinnym wypoczynku wymaszerowaliśmy około południa traktem ku Sempolnu na Lubstow i tam stanęliśmy. — Zdaje się, że nie bardzo w sztabie wiedziano co dalej czynić należy. Chwycono się też najgorszego planu, jak to zwykle po długich bywa namysłach.

ciemnica była wielka. Prowadził nas jakiś mieszczanin z Koła, Zalewski, co niby miał znać pozycję — któż jednak w takich warunkach czegoś dokonać może. Nie doszukawszy się też niczego, a zmarłowawszy noc całą, wróciliśmy do Koła, gdy świtać zaczęło.

Właśnie już wymarsz naszych w kierunku Cienina, Gosławic i Kaźmierza był nastąpił. Dr. Niegolewski miał rozkaz spalenia mostu, a dla mnie był drugi, abym jak zwykle, szedł z tylną strażą.

Znów mi zostawili 3-cią kompanię Hegnera — więc objąłem dowództwo i maszerowałem za oddziałem. Żał mi było Niegolewskiego, bo pewien byłem, że go chwycą.

Obóz moskiewski na łęgu widać była jak na dłoni — stało tam: 6 armat, 2 szwadrony huzarów i około 2000 piechoty. Przechodziliśmy od Moskali bliżej jak o 2000 kroków i to wzdłuż prawego brzegu Warty — oni znajdowali się na lewym, między Kościelcem a Kolem, ale więcej ku rzece.

Ze Moskale, patrząc na naszą defiladę nie walili z dział, nie przeprawiali przez bród, który tam się znajdował, swych huzarów, tego zgadnąć nigdy nie mogłem i dotąd nie mogę. Odległość była tak mała, że ja maść koni rozpoznawałem, mogłem też przez lunetę dojrzeć czerwone klapy na ramionach szyneli — widziałem też jak Kozacy do wodopoju do poło-

Jak kto mi powie, chcę odpocząć, niechaj mnie rozbija, ja potem znów sobie oddział zbiorę, bo tu chodzi o ciągle podtrzymywanie partyzantki, to zrozumieć o co mu chodzi i nic nie powiem. Ale gdy ten sam pragnie mnie przekonać, że w ten sposób wojując, niepodległość kraju wywalczy, to zgóry wiary mu nie ddam.

Mozna było liczyć na interwencję Francji lub Anglii gdyby się było postawiło 100000 armię i wyparło Moskała, choćby chwilowo, za Wisłę. Rzecz ta była, zdaniem mojem, możliwa. Ale trzeba było mieć ministrem wojny, człowieka fachowego, a nie wikarego od Św-go Jana. Trzeba było postawić na czele oddziałów doświadczonych żołnierzy, choćby nie wielkich strategików, ale ludzi z odwagą i sercem. Był m. p. Mielęcki bardzo zdolny żołnierz, był Bończa pełen energii, choć surowy — był i Osiński.

Nie mówię już o Strzeleckim, którego zdolności zupełnie ocenić nie umiano. Cóż on miał robić jako szef sztabu u Taczanowskiego — czy uczyć generała strategii, czy kontrolować jego działalność? Szkoda było na to tego człowieka nadającego się raczej na wodza, choćby tylko oddziałów operujących w Kaliskiem.

Gdy mowa o sztabie, pragnąłbym wyliczyć osoby, które w skład jego wchodziły: Major Strzelecki, jak już zaznaczyłem, szef sztabu;

Pozycja nasza nie była najwygodniejszą. Wiedzieliśmy, że ci Moskale, którzy połączyli się ze sobą w Kole, pójdą na pewno za nami. Wiedzieliśmy również, że w Koninie, do któregośmy się zbliżali, znajduje się nieprzyjaciel. Dość prawdopodobnem też było, że Kostanda opuści Oborskiego i pösunie się ku nam wraz z innymi. Natomiast dowiedzieliśmy się, lecz dopiero później, że Krosnokucki stoi w Sempolnie z finlandskimi strzelcami. — Marsz ten był więc w każdym razie bezcelowy, bo oddalał nas od Oborskiego, a centralizował równocześnie siły ruskie.

Ale czy można mówić o jakimś planie strategicznym gdy chodzi o partyzantkę, a zwłaszcza polską, gdzie każdy działa na własną rękę i rad drugiemu buty szyje. Jung de Blankenheim obozując w Słupcy nie chciał podsunąć się ku Taczanowskiemu pod Pyzdry. Co więcej Fauché*) stojąc w Ratajach w 200 ludzi, nie uważał za konieczne złączyć się z naszą kolumną, nawet wtedy gdy jej znaczne bardzo siły nieprzyjacielskie zagrażały. Dopiero pod presją J. Działyńskiego, przewodniczącego Komitetu poznańskiego, przeszedł ten mały oddziałik pod komendę Taczanowskiego. Jak można było liczyć w takich warunkach na Oborskiego i Sejfyda.

*) Autor pamiętnika pisze czasem Fauchaux. ♪

IGNACEWO.

Po długiej tedy naradzie, po zaczerpnięciu wiadomości, że Sempolno obsadzone Moskalami, zdecydowano kontrmarsz ku Kaźmierzowi. — Że zaś przez namyślanie się zmarnowano czas drogi, przeto słońce już zachodziło gdy przechodziliśmy folwark Rudę, potem kolonję Ignacewo i stanęli z konieczności za niem na pozycji leśnej. Lewe nasze skrzydło oparte było o małą olszynkę bez strategicznej wartości, tyły zaś zakrywał las, a za nim jeziora. Skrzydło prawe nie miało żadnego zabezpieczenia, a mogło je mieć, jak się nazajutrz pokazało, przez oparcie o jezioro przy niewielkiej zmianie frontu. Przed nami, poza chałupami było szczere pole.

Stanąwszy tam 7-go maja obozem, nie mieliśmy wyobrażenia dokąd idziemy, wszelako zbliżenie się do Konina i Sempolna nie kaźało nam spodziewać się nic dobrego.

Noc była śliczna, wiatr ustał. Miśkiewicz, czując się zmęczonym, prosił mnie, abym objął komendę nad kawalerją. Pamiętam, wieczorem

Major Jaraczewski¹⁾, a la suite — Murzynowski²⁾, B. Malczewski, S. Malczewski, Koszutski, Radoński³⁾, adjutanci. Potem Berendes, nieświadomej mi funkcji, dalej Moniuszko, Kaniowski, Korzuchowski, Maliński — do rozmaitych przygodnych poruczeń. Urząd audytora, względnie komisarza wojennego sprawował Dr. Niegolewski⁴⁾. Kapelanów mieliśmy trzech, wśród nich zacnego księdza Maxa. Tych zawsze potrzeba, szczególnie w czasie bitwy. Jak i potrzeba lekarzy, których mieliśmy również trzech. Do sztabu, lecz bez komendy przyłączeni byli jeszcze: J. Działyński⁵⁾, Malczewski⁶⁾, Kosiński i Turno⁷⁾. Nie ujmując zacności i dzielności wszystkim tym panom, pytam się jednak, czy taki natłok był wskazany. Myślę, że dwóch lub trzech odkomenderowanych adjutantów z szefem sztabu na czele, mogło być wystarczyć energicznemu naczelnikowi i przyczyniłoby się do większej zgody między oddziałami.

¹⁾ Prawdopodobnie Tadeusz z Kijewic pod Strzelnem.

²⁾ Zdaje się z Kalinowy w kaliskiem.

³⁾ Stefan, szwagier Wł. Szudrzyńskiego z Siernik.

⁴⁾ Władysław z Włociszewek, późniejszy poseł na sejm pruski.

⁵⁾ z Kórnik.

⁶⁾ zdaje się z Odrowąża.

⁷⁾ z Objezierza.

Ganier. — Nasze prawo³⁾ wzmacnia się 5-tą i 6-tą kompanją kosynierów, oraz drugą Dobrzańskiego. Kawalerja stanęła jako rezerwa za centrum, już nieco w lesie. Byliśmy co prawda zakryci, ale takim zagajeniem, przez które każda kula przechodziła — nie czyniła może wielkiej szkody, tem większe jednak wrażenie. Opisują nieco obszerniej ten dzień 8-go maja, raz, że on rozstrzygnął losy powstania kaliskiego, potwóre, że bitwa ta zupełnie na rzeczywistą zakrawała. Początek, jak już nadmienilem, był między 6—7 rano na forpocztach. Wysłany przezemnie wachmistrz Weber dotarł do karczmy Lubstowskiej, stojącej pod lasem za folwarkiem Ruda. Zmieniwszy ułanów wstąpił do niej by kupić mleka i jaj. Był z nim Wacław Zakrzewski⁴⁾, ten wychodząc do koni, spostrzegł kozaków okalających wysuniętą placówkę i woła: „Moskale”. Weber wypada z karczmy, wskakuje na koń i wraz z resztą idą ku naszej grangardzie, która daje salwę do ścigającego ułanów nieprzyjaciela. — Kozacy w nogi, a nasi wracają do obozu z raportem.

Tymczasem grangarda rozwinawszy się w tyralierkę, cofa się powoli ku naszym głównym siłom, zamieniając strzały z bataljonem

³⁾ Ponieważ autor pamiętnika wymienia wszystkie inne siły prócz 4-ej i 5-ej komp. strzelców, wynika z tego, że tam one na początku bitwy stać musiały.

⁴⁾ Z Kleszczewa pod Lesznem.

przyszli do mnie kapitan Jeziorański, dyżurny od grangardy, kapitan Hegner, porucznik Pieńiązek i kilku innych oficerów. Przy rozpalonym ogniu i gorącej herbacie — gawędzieliśmy przez pewien czas i zastanawiali nad tem co nam dzień jutrzejszy przyniesie.

Nad ranem wsiadłem na konia i sam objechałem nasze forpoczty. Około godz. 5-tej powstałem zmianę wedet, prowadzoną przez wachmistrza Webera i wracam na stanowisko kawalerji. Podczas gdy daję rozkaz otrąbienia apelu, słyszę strzały podające w oddali. Niedługo potem przybywa Weber wraz z placówkami meldując, że musiano się coinać pod naporem kozaków.

Rozchodzą się więc kompanje w najlepszym porządku — Strzelecki rozprawdza, Chałupy zajmują jedni, drudzy sypią szanicyki, jeden nieco wyższy wznoszą nad główną drogą, a w środku naszej linji bojowej. Tam sadowi się wśród 1-szej kompanji Działyński jako zwykły żołnierz. Komendę zaś nad tą pozycją obejmuje Turno. Na lewem skrzydle, przy samym lesie nabija armaty J. Szenic¹⁾ — Dowództwo nad całym skrzydłem²⁾ otrzymuje

¹⁾ Józef z Koszkiew, dawniejszy oficer w artylerji pruskiej.

²⁾ Jak wynika z opisu bitwy, składało się ono z 3-ciej i 4-tej kompanji strzelców, oraz 1-ej, 3-ej i 4-ej kompanji koswrierów

z frontu i te 4, które poprzednio Ganier'a ostrzeliwały.

Jak się rzekło, stała kawalerja z lewej pozycji za centrum. Gdy zaczęła się kanonada na naszym prawem, pojechałem tam dotąd z rozkazu Strzeleckiego, aby zrekonstruować sytuację. Dlatego też aczkolwiek kawalerzysta, widziałem jak na dłoni całą szachownicę bitwy.

Po cofnięciu się lewego ruskiego, zaraportowałem szefowi sztabu com zauważył, dodając:

— Trzeba będzie ułanom na piechotę wesprzeć tamtych, bo im będzie ciasno — strzelby weźmie się z furgonów.

— Jeszcze czas — odpowiada Strzelecki.

Stoję więc znowu na brzegu lasu, a że był rzadki, przeto śledzić mogłem wszystko, co się przedemną działo. Widzę więc jak dwa szwadrony huzarów Olgi uformowały się poza Rudą, atakują strzelców na lewym, tych co poprzednio byli wyszli z olszynki w pole. Spostreżli to nasi i cofają się pod las, gotowi na przyjęcie nieprzyjaciela. — Nadjechali huzary dość blisko, tak że cała 2-ga komp. z boku a cała 1-sza komp. z frontu dała im ognia — nadto nasze armatki również oddały salwę. Pierwszą i ostatnią, bo jedno działko pękło, drugie straciło lawetę, a trzecie małe, nic nie było warte. Zaraz więc Szemic odwiózł te pułkawy do furgonów, z ludźmi zaś swymi po-

piechoty Witgensteina, rozrzuconym również w tyraljerkę.

Gdy się to dzieje, część 1-ej i 2-ej kompanji sypie szanńczyki pomiędzy chatami za płotkami, na trakcie, reszta wysuwa się z centrum i wspiera naszą grangardę. O godzinie 7-ej Moskale cofają się na las Lubstowski.

Niedługo jednak trwał spokój. Po zlustrowaniu naszych pozycji przez sztab ruski, wyjeżdżają 4 armaty na północ od folwarku Ruda, przed nasze lewe skrzydło dochodzące do olszynki i obrzucają ją granatami. — Odległość była niewielka i prawdopodobnie dlatego szkody wielkiej nam nie uczyniono — prawie wszystkie pociski padały na las znajdujący się poza frontem.

Pod osłoną artylerji wysuwa się teraz przeciwko naszemu lewemu bataljonowi fiński strzelców z komendy Kostandy, rozwija się w tyraljerkę i atakuje stojące tam dwie kompanje strzelców naszych.

Równocześnie dwa bataljony z komendy Witgensteina zaczepiają tyraljerką skrzydło prawe. Natrafiwszy jednak na oszańcowaną pozycję, cofają się z wolna. To samo zresztą czynią na naszym lewym Finlandczycy, za którymi z flanki wychodzi jeszcze 3-cia kompanja stojąca w olszyce.

Na chwilę przycicha atak, tylko na centralnym nasz szanńczyk biją 4 działa granatami

— Aż tu cud czysty! Od razu, na jakieś kilka-
dziesiąt kroków, wypadają z lasu kosynierzy —
pierwsza kompanja w czerwonych bluzach.

Jak się rzuca na Finlandczyków z flanki
tak się aż zakotłowało. — Było tam najmniej
300 chłopca. Moskale usłyszawszy głos Gar-
nier'a: „anawa” (en avant), hura — pędem
w nogi.

Wiara nasza rąbała z taką zaciętością jaką
trudno sobie wyobrazić. Było daleko i widzia-
łem tylko pierwszy efekt ataku, ale opowiadał
mi później Bol. Zakrzewski, który brał czynny
udział w szarży, że kosynierzy rozżarli się do
tego stopnia, że gdy od Rudy (aż dokąd nie-
przyjaciela przepędzili) wracali, to ten i ów nie
mając dosyć, nad trupami jeszcze się srożył.
Lecz zapal ten ostudziły znacznie armaty mo-
skiewskie, które do zwycięzców kartaczami wa-
lić zaczęły.

Była to najjaśniejsza chwila dnia całego.
Na wszystkich flankach wróg odparty — zegar-
rek wskazywał godzinę 12½. Nie wiodło się,
jak dotąd Moskałom. Próbowali najpierw
osłabić nas i wyprowadzić z równowagi arma-
tami, których trzecią 4-kę¹⁾ na swe lewe skrzy-
dło wyprowadzili — Huzary Olgi szarżowali
bez skutku — Nie udał się wreszcie atak batal-
jonowy. Byłem przekonany, że niebawem ustą-
pią.

¹⁾ Strzelało więc obecnie 12 armat.

szedł na lewe skrzydło do strzelców. Ci mieli jeszcze czas nabić, bo nieprzyjaciel dostawszy potężnego łupnia, rozpraszyl się i cofał w nieładzie. Strzelecki podążył tam natychmiast aby zrobić porządek.

Z mojego miejsca widziałem także Działyńskiego, stojącego na szynicy i strzelającego z prawdziwie budującym spokojem ze swego 16-tu strzałowego karabinu jak prosty żołnierz. Prawda czynił on to samo pod Pyzdrami atę tam stali nasi za sosnami w bardzo łagodnym ogniu — tu biło w szańcyk, mający co najwyżej 120 kroków długości 8 armat i strzelało do niego 1000 karabinów. Kule krzyżując się uderzały w dragowinę oddaloną o jakie 80 kroków od szańca. Cięły gałęzie, korę, łupały wior, — słowem trudno sobie wyobrazić jakie spustoszenie w lesie taki dobrze utrzymany ogień wyrządzić może.

Ja wprawdzie wróciłem do moich ułanów, ale nie na długo, bo pomny na dany rozkaz, musiałem znów udać się na prawe skrzydło celem obserwowania postępów nieprzyjaciela.

Jadę więc tam, zabrawszy z sobą dwóch szeregowych. Gdy staną na miejscu, nad brzegiem lasu, widzę jak właśnie w tej chwili wykonuje bataljon Finlandczyków szarżę na zewnętrzne nasze lewe skrzydło. Atak przybiera już formę gwałtowną — idzie na bagnety.

Brunner przybywa z Kalisza z 2000 ludzi i kilku armatami. Nasze przerzedzone centrum odrzuca bohatersko ciągle szarżę piechoty. Nasze prawe złamane, cofnąwszy się do lasu, broni się z poza drzew z rozpaczą. Nasze lewe odpiera skutecznie ataki Kostandy.

Teraz dopiero ten ostatni zmienia taktykę. Przenosi on atak z lewego na centrum i przerywając tym manewrem linię naszą, odcina pozycje Garniera od reszty. Równocześnie, gdy to się dzieje, lewe skrzydło ruskie, zmieniawszy front¹⁾ przechodzi do ataku z południa na północ i bierze jedną chatę po drugiej. — Zaczyna się rzeź prawdziwa.

Odwożą ciągle naszych rannych. W pewnej chwili słyszę, że ktoś mnie woła — to Dr. Niegolewski na wozie, ranny w nogę, żegna się zemną. Odwiezion jest ku Gosławicom. Odwożą również ciężko rannego Murzynowskiego, także i Żychlińskiego z przestrzelonem ramieniem. (W tym czasie ginie Turno²⁾), pada major Strzelecki. — Przeszło 200 rannych usunięto wozami z frontu, a bitwa wciąż wre.

Dopiero około 3¼ pierwsi kosynierzy z prawego dali zły przykład. Jak wpadli bie-

¹⁾ Po zdobyciu prawego polskiego skrzydła.

²⁾ Witold T. został ciężko ranny. Odwieziono go do Lichnia, położonego w pobliżu Gosławic, gdzie niebawem zmarł skutkiem otrzymanego na polu bitwy strzału. Pochowany w tamtejszym kościele parafjalnym.

Naraz widzę, że robi się jakiś ruch na lewym moskiewskim. Nieprzyjaciel zaczyna okalać nasze prawe, tak słabe jak tylko można sobie wyobrazić. Posyłam więc natychmiast ułana, aby zaraportował w sztabie co się dzieje. Sam zostaję i stwierdzam, że bataljonowa kolumna okala naszą prawą zewnętrzną pozycję.

Daremny opór stawiają mężni strzelcy. Mimo, że sprawa przedstawia się beznadziejnie²⁾, wyprowadza dzielny kap. Dobrzański swych z kosami do ataku — skoczyli. Moskał zatrzymuje się, nawet cofa, strzelając jednak w dalszym ciągu.

Wtem pada kap. Thiel ugodzony w czoło — chłopcy zaczynają się wahać. Pada Dobrzański, ugodzony w brzuch — zatrzymują się.

Widzę, że źle, skoczę do moich dając rozkaz, aby podsunęli się pod kosynierów, gdyż ci na pewno długo nie postoją. W czasie, gdy zmieniamy pozycję, dochodzi do naszych uszu przeciągłe: hurra, a po niejakim czasie z prawego słychać strzały armatnie.

Już wiedziałem co to oznacza. Moskole sforsowali nasze prawe skrzydło poza chałupami i sprowadziwszy na nie działa, strzelają wzdłuż linii bojowej.

Rzeczywisty stan rzeczy przedstawiał się wtedy (o godz. 2-ej) jak następuje: Generał

²⁾ Pozycji broniło może 100 strzelców i nie więcej jak 200 kosynierów. Stali zaś pod ogniem 1000 karabinów i 4 armat.

— Tak, to on poległ, — odpowiada brat. 7

Nie było czasu rąk łamać. Znow formuję flankierów i znow wykonujemy ten sam manewr jak poprzednio. Postąpiwszy w ten sposób jeszcze kilkakrotnie z dobrym skutkiem, doganiamy naszych i zachęcamy, by się skupili, choćby dla własnej obrony. Udaje się nam to poczęści.

Tak zwolna zdążamy ku Piotrkowicom — ogień zaczyna ustawać.

Ale wracam jeszcze do wydarzeń na placu bitwy. Kostanda odciąwszy atakiem swym nasze lewe skrzydło (raczej jego resztki) od centrum, odrzucił je równocześnie poza siebie. Oddzielił więc od nas 2 kompanje strzelców, mianowicie Hegnera i Ostena, oraz 3 kompanje kosynierów**). Ta część oddziału naszego udała się w okolice Łądu i szła na Wysoką ku Waracie, czyli w kierunku z północy na wschód południe, gdy my niemal że w odwrotnym kierunku musieliśmy się cofać. Nasze armaty, furgony, ambulanse poszły traktem na Ślesin. Nam, ustępującym z Ignacewa w godzinę później, droga ta stała się nieprzystępną, ponieważ po wzięciu centrum, ostrzeliwali ją Moskale granatami.

Jedna rzecz jest mi wszelako niejasna. Z najzimniejszą krwią patrzałem na wszystko

*) Kosynierzy Garniera.

żąc drużyną na front naszej kawalerji, tak nie zostało 2 koni na miejscu. Przestraszone konie poniosły na jakie 100 kroków w bór, w tem miejscu nie gęsty. Tam zdołaliśmy zebrać coś ułanów, ale o formowaniu nie było już mowy. Nie było i czasu, bo już cofają się w nieładzie kompanje 1-sza i 2-ga wraz z Działyńskim, a Moskale w ślad za nimi.

Wtedy ja skupiwszy około siebie 37 ułanów, powiadam do kapitana 1-ej kompanji:

— Zbierz co się da strzelców, pomieszczy tyraljerów z flankierami i pójdziemy naprzód, aby resztę ocalić.

Więc Lewiński zbiera strzelców (jak mi potem mówił, zebrał około 80), ja tymczasem rozrzuciwszy w flankierów moich 37 ludzi, posuwam się z nimi ku Moskalom. Zatrzymali się i zaczynają formować.

Widzę, że poza nami Lewiński rozwija swoich, cofam się więc z moimi poza jego front. Gdy tak okrążamy tych improwizowanych tyraljerów, wyjeżdżamy na chwilę na trakt — jak wytną kartaczami — tak my znów w las.

Spadło tam kilku. Jednemu rozbił pocisk głowę, obrzucił mnie mózgiem. Spojrzę i powiadam do brata mojego Stanisława, który znajdował się obok mnie:

— Patrz biedny Wacek¹⁾.

¹⁾ W. Zakrzewski nie zginął — była to pomysłowa spowodowana kara maścią konia.

Zadługuje również na wyróżnienie imponującego postać majora Strzeleckiego, którego niepracticzna odwaga zakrawała już czasem na błogę; bo jak ówczesj wytlómaczył sobie ten jego śmiałość:

Stoiący w gestem ognia, a on dobywa czerwony medal w czerwiciście jeszcze parj i oczyszcjając się pot z czoła, mówi „zrobił się olbrzym upał”. Potem zdetruncie czołgę i chłodził się swą chustką. Musia, przytom się, niebardzo w tej chwili chciało się zatrzymać chłodu — wogóle nie uwatalem na to taka była temperatura.

Jeszcze w 10-ej przed południem, walcjający w oko wozokł, wyruszył sam jeden na swym angielsko przecie tyraljeron muskiewskim i objeżdżając krótkim galopem ich linję, zwalił do nich z gynchwera — widziałem nawet, że dwóch padło. Wystrelkowazy swoją o am strzałową broń, wrócił potom do nas cały. To był odważny w swoim rodzaju.

Gdyśmy się cofali kuza, przyłączył się do nas odwich polowy pod komandą porucznika Kozymacow (nawisła jego na nasietam). Ten widząc nasz wydalający zalkony tyraljeron, zwraca się do nas i pyta:

„Pascie kapturów, mam to kilku jeźdźców z szeregow, którzy są wojownicy na granicy naszej szaszi. Wyrok jest w naszej liście. Czy mam ich powołać, czy dla przedkości umiarkować?” Odpowiedział nam: „Nie bardzo są

co się działo, a nie zdarzyło mi się przez cały dzień spotkać Naczelnika, Pytelca czy kolegów — nikt go nie widział, o nim nie słyszał. Stąd jego odwołanie jednak w 36 godzin później i to zupełnie gwałtownej jak pod Ignacowem.

Na tej podstawie przechodzę do przekonania, że istnieć musiało jeszcze trzecia droga, którą można było cołać się bezpiecznie — drogą przez suchyście siemom.

Nie mogę też powstrzymać się, aby nie opisał kilka epizodów z tego pamiętnego dnia bitwy.

Nadzieję się w pierwszym rzędzie kilka słów powiedzieć Detaldydzowemu, który wśród gradu kul, z maszynowym sposobem, strzelał jakby do celu. Z taką odwagą trudno zaprawdę się spotkać. Zjechałem się z Malozzewowem na chwilę w czasie bitwy na stacji Iano. Właśnie wtedy gdyś widział z prawego skrzydła Strachotowa raport o odparciu Moskali. Mówił mi ten stary żołnierz, który odbywał wojnę krymską i spędził kilka lat w legii zagranicznej w Algierze, który wraz z znanym Fr. Buchszewskim i Józefem Komoczinem brał udział w bitwach pod Magenta i Solferino, mówił mi, powtarzam że jak tyje nie widział tak skoncentrowanego ognia jak ten na nowo centrum pod Ignacowem. Tam spokój i cisza — widać tylko pojedyncze życia i chęć zakończenia tej samotnej wędrówki na ziemi.

Po tych kilku słowach, tak ubocznie powie-
dzianych, wracam do rzeczy. Ogień nieprzyja-
cielski, w którym jeszcze ciągle pozostawali-
śmy, zaczął powoli ustawać. Widząc Działyń-
skiego, wezwałem go, aby objął dowództwo nad
resztkami naszego oddziału. Przyjął propozy-
cję popartą także przez Miskiewicza, Jaraczew-
skiego i innych.

Chodziło w pierwszym rzędzie o wyszu-
kanie przewodnika, któryby mógł wskazać nam
daleszą drogę — ja miałem wystarać się o niego.

Stała na polance między lasami mała
chatka jakiegoś kolonisty niemieckiego. (Wówczas
tedy wsiadłem na koń i podążam w tę stronę.
Zastąpiłem gospodarza w domu, mówię mu więc:

„Jeżeli zaprowadzisz nas do Gosławic (tak
orientowałem się z mapy, tylko przez las nale-
żało mi drogę odszukać), dostaniesz rubla, je-
żeli zechcesz uciekać, to śmierć — patrz, mam
zabity rewolwer w ręku”.

Niemiec cieszy się, podskakuje.

Może w 10 minut później wychodzimy
z lasu, ukazują się przed nami zabudowania.

Pytam: „jak nazywa się ta wieś”?

„Peterkowitz”, odpowiada niemiec.

„A daleko do Gosławic”?

„Eine halbe Meile”.

„Toż za nic zarobiłeś rubla”.

„No, ale ten strach, co za strach”.

zajmuję tą sprawą, myślę wszelako, że możesz puścić tych Moskali, niech idą do swoich — a ze szpiegami rób jak chcesz — masz własne sumienie”.

Usłyszawszy to podoficer, przyłożył jednemu ze szpiegów sztucer do głowy i wypalił, puczem zaczął nabijać z najzimniejszą krwią broń swoją. Nie widziałem co dalej uczynił, bo miałem za mało czasu — trzeba było prowadzić flankierów naprzód. Zauważyłem tylko, odwróciwszy się krótko potem za siebie, że Moskaliska się rozłaziły. Powiedziałem, aby ów podoficer jeńców puścił, ponieważ już dnia poprzedniego była o tem w sztabe mowa — żywności dla naszych i tak nie mieliśmy za dużo. Zresztą, cóż zrobić z jeńcem w takiej sytuacji.

Kuzyn mój B. Zakrzewski był w szarży kosynierskiej, tej która się dopiero pod Rudą skończyła. W czasie biegu przeszła mu kula karabinowa z prawej ku lewej futro, które miał w tej chwili odpięte. Gdy je potem zapiął, wyglądało to jak gdyby dostał postrzał przez wnętrzności i dziwili się ludzie, że człowiek z taką raną cho¹zić może. W rzeczywistości owa kula zostawiła mu tylko pręgi na ciele.

Mnie Bóg ratował. Dostałem tylko na tej drodze, na której sypnięto do moich flankierów kartaczami, kontuzję poniżej kolana, a w kwadrans później drugą przez plecy od kuli armatniej. Dnia następnego ledwie się ruszać mogłem.

Działyński zwołał przeto radę wojenną, do której mieli należeć wszyscy oficerowie do rotmistrza względnie kapitana. Zebrali się więc Miśkiewicz, Jaraczewski Tadeusz, Lewiński, Paloski, Szuman i jeszcze kilku innych. Stawiłem wniosek, aby obliczyć ile mamy ludzi i amunicji. Okazało się, że było ich przeszło 400 aie na 250 strzelców, posiadało zaledwie 25 po 20 ładunków — reszta mniej. Wszelkie zapasy, jakie kto miał, zostały zużyte.

Ja np. dałem wtedy, gdy cofaliśmy się z pod Ignacewa moje kule rewolwerowe strzelcom, aby nabijali choć takimi. — W kilka lat później zakwestjonował ktoś ten fakt, twierdząc, iż tak być nie mogło. Poparł mnie jednak obecny przy tej rozmowie Eustachy Rogaliński, dodając jeszcze od siebie: „i dałeś im prócz tego na owej linii tyraljerskiej proch z twej puszki“.

Ale wracam do rady wojennej. Wobec oczywistej niemożliwości podjęcia dalszej akcji, postanowiono zachować w lasach kaźmierskich broń, którą mieliśmy pod ręką — konie rozkwaterować po wsiach okolicznych do dalszej Rządu Narodowego dyspozycji, a ludzi rozpuścić. Pieniążek oświadczył, że podejmuje się broń zakopać, tę samą chęć objawił Lewiński. Poszedł w las z 20 ludźmi — reszta się rozeszła.

Skutkiem otrzymanej dnia poprzedniego kontuzji byłem tak cierpiącym, że niemał na

4 tak, prawie od czoła cofającej się kolumny, dochodzimy przez pole posianej ożmyny do wsi. Raz po raz syknie kula od lasu. Aż tu naraz coś klupnęło — Niemiec fajt. Dostał biedak kulą w głowę i padł na miejscu.

Myśmy niebawem doszli do Piotrkowic. Młócono w stodole. Kazałem zaraz do wozów zakładać ile ich tam było, aby umieścić na nich rannych i tych, którzy ze zmęczenia ustawali. Nieco później przybyła cała nasza kolumna, do której przyłączyło się w czasie marszu nieco strzelców i kosynierów. Z kawalerji zostało tylko tyle, ile ze mną poszło.

Działyński każe maszerować przez Gosławice do Bieniszewa, gdzie miały być bagaże i furaz. Przychodzimy do Gosławic, pytam o furgony — niema ich. Żle, pomyślał jaki taki, bo mniejsza o jedzenie, ale cóż zrobić bez amunicji. Nie zastaliśmy ich też ani w Bieniszewie, ani w Kaźmierzu. Tam kupiliśmy dla ludzi trochę chleba od piekarzy — dominium dało co tam było. W każdym razie przydał się ten posiłek, gdyż od wieczora dnia poprzedniego nie mieliśmy nic w ustach.

Trzeba było coś postanowić, gdyż położenie nasze stawało się coraz to rozpaczliwsze. Jak się rzekło, nie mieliśmy ani żywności ani amunicji — nieprzyjaciel nas otaczał, a żołnierz był zniechęcony.

WRACAMY DO DOMU.

Nie wszyscy jednak przeszliśmy wspólnie granicę. Na ostatnim postoju, to jest w Marszewie u p. Wichlińskiego, oświadcza Tadeusz Jaraczewski, że przeprowadzi nas między jeziorami do Osowca, a stamtąd do (Orchowa*), Rozkładał na to kartę sztabową i mówi:

— Zły z ciebie strategik, bo Prusacy obśadzili niewątpliwie ten przesmyk — ja pójdę na Siedlimów, tam sucha granica, ryzyko mniejsze — kto łaskaw proszę za mną!

Powiedziałem to niby żartem, przyłączyli się jednak do mnie Rogaliński, H. Jaraczewski i mój brat.

Idąc w wymienionym kierunku, zatrzymaliśmy się po drodze w Wturku u p. Robowskiego. Wszedł na nasze spotkanie jakiś pan palący fajkę — przedstawiam moich towarzyszy i siebie. Zdziwił się nieco nasz gospodarz i twierdzi, że ma również Zakrzewskiego u siebie.

— A to chyba samozwaniec, wołam, bo było nas 7. Z tych dwóch rannych, dwóch zabi-

*) Orchowo leżało już w Księstwie.

koniu nie mogłem się utrzymać i przyznaję się, choć ze wstydem, iż w tej chwili o dalszej walce nie myślałem.

Zebrało się nas kilkunastu, którzy do Księstwa wracać pragnęli. Między innymi wyliczam tu Działyńskiego, dwóch Jaraczewskich, Stef. Zakrzewskiego, Błociszewskiego, Kosińskiego, Czapskiego*), Radońskiego, Rogalińskiego i mojego brata Stanisława.

Poszliśmy za Złotków. Budziśław ku Wilczynowi, skąd już niedaleko było do Księstwa.

*) Bolesław C. z Cerekwicy, brat Józefa z Kuchar.

— Owszem, lednak proponuję, abyśmy się przedtem wspólnie w karczmie posilili.

Podobała się bardzo myśl ta żołnierzom. W czasie jedzenia, naturalnie i picia, dowiaduję się, że Siedlimowo należy do p. Preisa. Choć go na oczy nigdy nie widziałem, postanowiłem zaryzykować. Mówię więc do jednego z ułanów, że znam p. Preisa i jeżeli zechce mnie do niego zaprowadzić, to poproszę go o konie, które nas do Grangardy zawiozą. Zgodził się zaraz, uczuwszy talara w swej dłoni.

Wychodzi p. Preis, rzucam mu się na szyję i mówię pośpiesznie:

— Jestem Zakrzewski, powiedz pan, że mnie znasz.

Zacny człowiek zorientował się zaraz w sytuacji — dodał nawet, że spodziewał się mnie tu zobaczyć i chętnie służy koźmi do Korzuszkowa. Był bardzo rad, że może nam oddać tę przysługę.

Z Korzuszkowa odstawiono nas do Kuśnierza, gdzie stała komenda piechoty. Kapitan wzywał nas kolejno do protokołu. Ja miałem paszport jako właściciel ziemski. — Miałem zamiar odwiedzić znajomego Budziszewskiego, lecz dowiedziawszy się na granicy, że umarł, wracam do domu. — Mój brat, twierdziłem, towarzyszył mi tylko w podróży.

Jako trzeciego wprowadzono na przesłuchanie Wacława Z. Ten nieproszony zaczął

tych, z jednym pożegnaliśmy się niedawno temu, a dwóch stoi przed panem.

Mówiąc o zabitych, miałem na myśli Bolesława i Wacława*). O pierwszym twierdził jeden z kosynierów, że widział jak padł w czasie szarży pod Ignacewem. Co do drugiego, pierwszy był, że rozbił mu głowę kartacz, gdy cotaliśmy się leśną drogą po bitwie.

Tak sobie rozważam, aż tu drzwi się otwierają i wchodzi nieboszczyk Wacław. — Radość była wielka. Widocznie, że w ogniu oczy nie zawsze dopisują.

Pożegnawszy p. Robowskiego, puściliśmy się przez pola do Siedlimowa. Tuż przed granicą spostrzegamy ułanów pruskich pod kościołem. Cóż było robić? Umówiliśmy się, że doczekamy zmiany posterunku, a gdy tamci czynnością tą będą zajęci, my zbliżymy się do nich. — Oczywiście zobaczą nas, ale wtedy powiemy, że pochodzimy z Księstwa, że spotkaliśmy się przypadkowo i drogę zmylili. — Nie bardzo to było do prawdy podobne, ale nic lepszego nie mogliśmy w takiej sytuacji wymyślić.

Pół godziny później pyta nas ułan:

— Dokąd to panowie idą.

— Do domu, odpowiadam.

— Tak, ale najpierw do grangardy.

*) Okazało się później, że wiadomość ta była nieścisła.

— Wczoraj Taczanowskiego na kolej odwoziłem.

Rozmowa staje się głośnie i ogólna — Wacław rej wodzi, pyta się gdzie hotel i prosi komisarza na wino.

W hotelu*) zastajemy kilku oficerów, z którymi zapoznaje nas komisarz i Mierosławski, poczem zasiadamy wszyscy do stołu.

Po pewnym czasie wchodzi oficer „du jour” aby odstawić nas na odwach. Za pośrednictwem jednak komisarza, który za nas ręczył, pozwolono nam nocować w hotelu pod strażą żołnierzy z nabitą bronią.

Idziemy wobec tego do sali znajdującej się na piętrze i prosimy z sobą oficerów na kieliszek wina. Co chwila wychodzi Wacław Z. z kluczami na podwórze, a żołnierz za nim i staje przed drzwiami. Co tam robił nie wiem, w każdym razie dawało to powód do ogólnego śmiechu.

Z Mierosławskim zapoznałem się bliżej. Opowiadał mi jak wioził Taczanowskiego przebranego za stangreta na stację kolei żelaznej do Mogilna.

Jedna mnie atoli rzecz zastanawia i zrozumieć jej do tej pory nie mogę. Cofanie się nasze z linii Ignacewskiej nastąpiło podług mojego zegarka, który do tego czasu noszę, o 3-ej po południu. Aby dojechać przez Kleczewo,

*) Hotel Lidelta.

opowiadać swoje przygody, poczynawszy od lat dziecięcych w sposób tak fantastyczny, że kapitan do pasji doprowadzony i w przekonaniu, że ma do czynienia z człowiekiem nienormalnym, wyrzucił go poprostu za drzwi.

Wzięto ostatecznie Jaraczewskiego i Rogalińskiego na spytki, a nas trzech odesłano na odwach. Tam znowu komedja — Wacław zaczyna śpiewać różne wojskowe piosenki, posyła po wódkę żołnierza, cieszą się i piją.

Kuśnierz należał wówczas do państwa Moszczeńskich. Pan siedział, jak wielu innych w więzieniu, pani gospodarowała. Posyłam do niej kartkę z prośbą o konie do dalszej drogi. Zaczyna pani M. każe zaprzęgać stangretowi, a kapitan dekretuje, aby nas odstawiono do Strzelna. Zajeżdża wóz, wsiadamy na niego wraz z 6 żołnierzami z nabitą bronią.

Przywożą nas pod wieczór do komisarza obwodowego, staruszka. W czasie, gdy spisuje z nami nowy protokół, wchodzi Franciszek Mierostawski i rzuca mi się w objęcia — jak się nazywasz, pyta po cichu. Zajęty swą pracą komisarz nie zauważył naszej dalszej rozmowy, tem więcej, że mu Wacław jakieś niestworzone rzeczy opowiadał. Wymieniłem mi więc nazwiska towarzyszy moich i powiedziałem, że z pod Ignacewa wracamy. — On mówi mi na to:

Noc spędziliśmy razem z oficerami. Żegnaliśmy nas też potem gdy wsiadaliśmy nazajutrz na wóz, aby udać się do Inowrocławia, gdzie stosownie do rozporządzenia generała, miał prokurator o naszym losie zdecydować.

Oczywiście, towarzyszyli nam znowu żołnierze, ale ci widząc jak się wojskowi do nas odnosili, nie czynili nam żadnych wstręćtów.

W Inowrocławiu odstawiono nas do gmachu więziennego. Jakiś pisarek wychodzi na nasze spotkanie i pyta o co chodzi.

— Oto mój paszport — mówię — mimo to aresztowano mnie i mojego brata. Proszę o marszrutę do domu.

Zamyślił się urzędniczek, zastępujący właśnie prokuratora i odpowiada:

— Mój panie, to należy do landrata, co mnie do was.

Landrata również nie było, przyjął nas jego sekretarz*), na szczęście Polak. Przejrzał moje papiery i powiada:

— No, pan jesteś wylegitymowany — ale ci drudzy — co to będzie za ambaras!

Zaczynam mu tedy tłumaczyć, że brat mój jest małoletni (co zresztą zgadzało się z prawdą) a co do moich trzech towarzyszy, to rekognoskuje ich na podstawie mojej legitymacji. Wreszcie tak kończę:

*) Nazywał się Jabłonowski.

(Wilczyn do Mirosławic*) miejsca zamieszkania Mierosławskiego, a stamtąd przebyć 4 mile do Mogilna, trzeba najmniej 8 godzin czasu. Ja widziałem Mierosławskiego w sobotę po południu, a w piątek o 6-tej już się Taczanowski przez granicę przeprawiał**).

*) Mirosławice położone są o 8 km na południe od Kruszwicy.

**) Autor pamiętnika, choć wyraźnie myśli swej nie wypowiada, niemniej przekonany jest o tem, że Taczanowski opuścił walczący oddział zanim losy bitwy się rozstrzygnęły.

Rozumuje on w sposób następujący: Rozerwanie polskiego frontu nastąpiło nie przed godziną 3-cią popołudniu. Działo się to w czwartek, dnia 8-go maja, a w piątek rano był już Taczanowski w Mogilnie.

Jadąc z Ignacewa do Mogilna przez Mirosławice i najkrótszą drogą, potrzeba na to, jak oblicza autor, 8 godzin czasu. Taczanowski jednak znajdował się w trudnej sytuacji. Nie mógł on jechać prosto przez Wilczyn do Mirosławic, bo ten był przez Prusaków obsadzony. Wybrać więc musiał z konieczności drogę znacznie dłuższą, ale pewniejszą, przez lasy łuszczewskie, Lubstówek i Rzeszyn i szedł prawdopodobnie pieszo, przestąpiwszy granicę.

Wszystko to uwzględniając, przychodzi autor pamiętnika do wniosku, że Naczelnik nie mógł w czasie 14 godzin pokonać tych trudności, czyli że opuścił swoich znacznie przed rozbitciem oddziału. Dochodzi jeszcze do tego fakt, że Z. jeżdżąc ciągle w czasie bitwy wzdłuż linii, nie spotkał się ani razu z swym wodzem, a rozkazy odbierał od Strzeleckiego.

Byli to nasi towarzysze, mniej od nas szczęśliwi.

Przed odjazdem poszedłem jeszcze do katedry, aby Bogu złożyć dzięki za cudowne wybawienie z niewoli.

Nad ranem stanęliśmy w Poznaniu. Rogaliński miał pod Kostrzynem krewnego, do którego zaraz wyruszył. Pojechali również Wacław i Jaraczewski — każdy do siebie. — Ja zaś z bratem udaliśmy się niezwłocznie do ojca przebywającego w Poznaniu.

Naturalnie ojciec bardzo nam się ucieszył. Wysłuchawszy sprawozdania naszego o zdarzeniach w Kaliskiem, o życiu w obozie, pyta się:

— A Bolesć co robi?

Mówię — biedak zginął pod Ignacewem śmiercią walecznych, wieczny odpoczynek racz mu dać Panie.

Opowiadam potem to co od owego kosyniera słyszałem, że stał pod drzewem, że go Moskale obstąpili i potem zastrzelili. — Gdy tak się rozczulam nad bohaterstwem krewnego, wchodzi nieboszczyk zdrów i wesół. — Radość wielka.

Okazało się i w tym wypadku, jak w wielu innych, że na relacjach naocznych świadków polegać nie można.

— Mamy zamiar jechać kurjerskimi końmi do Poznania, każ pan więc odprowadzić nas przez woźnego na pocztę, a sam idź z Panem Bogiem do kościoła, bo dzisiaj niedziela.

— Ano, może pan masz rację, rzecze sekretarz.

I tak się też stało, z tą jednak różnicą, że zamiast na pocztę, poszliśmy z owym woźnym do restauracji na śniadanie, a potem zamówiliśmy konie, wyruszyliśmy do Poznania.

W drodze nie obyło się jednak bez awantury, gdyż Wacław, jakby już nie było dosyć kłopotów, pokłócił się, już nie wiem o co, w Kwieciszewie z zawiadowcą poczty. Ten przywołał żandarma. Wyciągnąłem więc znowu mój paszport, a zarazem pokwitowanie, że kurjer jest zapłacony i prosiłem o wzięcie nas w obronę. Żandarm przyznał nam słuszość, my zaś napisawszy zażalenie, pojechaliśmy dalej.

W Gnieźnie wypadło nam popasać. Staaliśmy u Kuglera i zamówili wieszperkę.

Żegnając się w Marszewie z Jaraczewskim i tymi, którzy wraz z nim mieli przedostać się między jeziorami do Orchowa, byliśmy przekonani, że tak prędko ich nie zobaczymy. A jednak losy inaczej zrzędziły. — Otóż spożywając zamówiony posiłek, i omawiając ostatnie przygody nasze, spostrzegamy, że żołnierze prowadzą do więzienia znajdującego się po drugiej stronie ulicy kilku ludzi powiązanych.

ny i w części wyróżniony. Nie byłem płochliwym i siedziałem na dobrym koniu — przebiełem się więc „solo” przez flankierów kozackich i w ten sposób cało z opresji wyszedłem.

Potem komenderowano mnie w randze „sztabsoficera” do formującej się 2-ej kolumny pleszewskiej pod wodzą Chełkowskiego. Główną kwaterę założyliśmy w Wilczy*). Tam dochodziły nas rozkazy i stamtąd rozsyłaliśmy nasze przez ordynansów. Miłkowski, Chłapowski, Rychłowski, Chodacki i niejaki Stachowicz stali zawsze na rozkazy, a raczej jeździli z posyłkami.

Oddział miał w zarysie 1000 strzelców i 200 kawalerji. — Ja miałem objeżdżać i zbierać konie, dislokować ludzi, organizować i urządzać wszystko. Konie stały w powiatach krobskim, krotoszyńskim i śremskim — także i ludzie. — Gromadzenie broni, prochów, kul i materiałów okropnie było utrudnione skutkiem obsadzenia nadgranicznych powiatów wojskiem.

Nadto musiałem sprawować urząd granicznego komisarza, to jest przeprowadzać kogo należało do Królestwa i na odwrót. Znosiłem się też w tych sprawach ze starym Gądkiewiczem, K. Murzynowskim, oraz Adamem Mieczkowskim, który był komisarzem granicznym z tamtej strony.

*) Majątek ten należał do J. Chełkowskiego.

WYPRAWA DO CHOCZA.

Wróciwszy do domu, zastałem tam między innymi listami także i wezwanie z wojska, abym stawił się w Śremie do superrewizji na 20-go maja*).

Myślę sobie, jak zobaczą ogorzałą twarz łuszczącą się ze skóry, włosy krótko przystryżone i dwie kontuzje na ciele — wezmą mnie na pewno do szeregu. Puściłem się więc niezwłocznie do Salzbrunn — tam rozpocząłem kurację.

Dr. Falk dał mi zaświadczenie, że kuracji przerywać się nie godzi, skutkiem czego na superrewizję nie stawiłem się — uszłol

Naturalnie nie bawiłem długo u wód. Po krótkim pobycie podążyłem do Poznania i tam zameldowawszy się w komitecie. Przydzielony zostałem do wydziału wojny. W tym charakterze otrzymałem rozmaite misje.

Raz nap. pojechać musiałem do Okńskiego w Wieluńskie. Ledwie mnie nie przychwycili pod Lututowem, bo właśnie gdym do oddziału dojeżdżał, tenże został przez Moskali otoczony

*) Autor pamiętnika był oficerem pruskim.

— Na to Chelkowski: Może zastaniemy tam Moskali.

— W takim razie, odpowiadam, trzeba poczekać aż ktoś się zjawi i nas poinformuje.

Jak na zawołanie idzie jakaś baba od Chocza — pytamy ją jakie tam stoją wojska.

— Taczanowski z ułanami, brzmi odpowiedź.

— A kiedy tak, to dalej w drogę. Przechodzimy do miasta — na środku ulicy stoją dwa konie, dzieci je trzymają, a ułani w karczmie.

Przechodzimy i zmierzamy do pałacu biskupiego, gdzie panuje ruch. Pokazuje się, że generał i sztab mają tam swą kwaterę. Na rynku stał 2-gi pułk sieradzki, a obok pałacu i kościoła Miśkiewicz z swą komendą.

Idziemy do Taczanowskiego i niebawem rozpoczyna się narada wojenna.

Wezwany, abym przedstawił plan przeprowadzenia oddziału Chelkowskiego przez granicę, przemówiłem mniejwięcej temi słowami:

— Wielki błąd, który formacje powstające w Księstwie czyniły, był ten, że podążały gromadnie do Królestwa. Zbieranina taka ludzi niewyćwiczonych, zaatakowana przez kilku czy kilkunastu ułanów pruskich, rzucała broń i w nogi.

Ja tego robić nie myślę. Mam przygotowanych przemytników, przez których broń i a-

W tymże czasie zebrał Taczanowski oddział jazdy, który ostatecznie składał się z dwóch pułków dobrze okrytych. 1-szym pułkiem dowodził najpierw Miśkiewicz z 1-szej kolumny pyzdrowskiej — potem, gdy tenże popadł w niełaskę u generała, powierzono go Malusiewiczowi 2-gi pułk dobrze wymustrowany i w którym służyli dawniejsi oficerowie pr... miał mój wuj Władysław Rembowski. Gdy Komitet*) oddał drugą kolumnę pleszewską Taczanowskiemu, przesłał mi on nominację na majora i zatwierdził w funkcji szefa sztabu, zastrzegając sobie przytem, że z nim jedynie będę się znosił i jemu podlegał.

Razu jednego, gdy siły Taczanowskiego skoncentrowały się w Chocz, dostałem rozkaz przybycia na radę wojenną. — Naczelnik mój**) także miał się stawić. Podążamy więc pieszo do owego Chocza, zmuszeni czasem pełzać na brzuchach pomiędzy wedetami pruskimi. — Przebywszy granicę idziemy już swobodnie. Ja znałem okolicę wybornie, dochodząc więc do miasta, mówię do mojego towarzysza:

— Tu powinna stać grangarda, bo to jest jedyne do tego nadające się miejsce — muszą tedy być nasi już gdzieindziej.

*) Komitet Poznański.

**) J. Chelkowski z Wilczy.

tem przedłożyłem daty statystyczne, dotyczące podwodów.

Generał zgodził się na wszystko, zastrzegł sobie jednak wybór dnia i godziny. — Ze zaś lubił się radzić, przyzywa tedy Józefa Gajewskiego, który negatywnie się oświadcza, odradzając ten sposób działania — Taczanowski przechodzi na jego stronę!

Zniecierpliwiony tą jego chwiejnością mówi:

— Generale, czy ten pan należy do sztabu? czy jest kompetentnym w sprawach wojskowych? czy wogóle należy do rządu narodowego? — proszę się zdecydować, bo rzeczywiście szkoda czasu.

Na to odpowiada generał:

— No zobaczymy, a tymczasem przeprawiajcie broń i amunicję.

Skończyła się rada wojenna. — Gdym się żegnał z Taczanowskim powiadam mu:

— Jeśli wolno uczynić uwagę, natenczas radzę, aby oddział dbał lepiej o swe bezpieczeństwo. Przyszliśmy traktem od Zagórowa — niema tam granardy ani posterunków wysuniętych — ledwie pikiety rozstawione są po ulicach.

— To nieprawda, rzecze generał i woła: Majorze Kosmański!

Gdy ten wszedł, pyta: czy stoją bezpieczeństwa?

municję umieszczoną w skrzyniach komisarzom granicznym odstawię. Gdy to nastąpi, generał flankowym marszem przeniesiesz swe siły poza Kalisz, np. w okolice Lututowa, pociągając naturalnie za sobą nieprzyjaciela, który prawdopodobnie zajmie pozycję gdzieś w pobliżu Błaszek. Wtedy nadejdzie chwila naszego wymarszu. Ja jednej nocy puszcę cały oddział tj. 1000 ludzi ku granicy. Pilnujący ją ułani schwycą w najgorszym razie jakie 100 chłopów, a reszta dojdzie już szczęśliwie na miejsce wyznaczone, powiedzmy do Rudy. Tam, wydelegowani w tym celu podoficerowie rozdadzą broń i naboje, poczem my z naczelnikiem sformowawszy kompanje, przewieziemy je na wozach w okolice Miłkowic. Naturalnie, że 200 koni pójdzie w pół godziny później za przeprowadzającym się przez granicę oddziałem i przejdzie przez Prosnę bez straty w tym czasie, gdy ułani uganiać się będą za piechotą.

Po utworzeniu oddziału, przeprowiwszy się przez Wartę. Generał zrobisz wówczas kontrmarsz ku Sieradzowi, okrążając Błaski od strony południowej, na które my, podążając z północy, uderzymy. — O ile Moskale nie będą za silni, znieść możemy nieprzyjaciela, biorąc go w dwa ognie.

Plan mój przedstawiłem zebranym posługującym się przytem mapami sztabowemi, poza*

* J. Chełkowski.

— Myślę sobie, dobra nasza i mówię do Taczanowskiego:

— Kto miał rację? Wszakże Matusiewicz wszedł do obozu, a nikt nie wiedział o jego przybyciu. — Gdzie zachowanie ostrożności, gdzie grangardy? — Co powie teraz major Kosmański?

Zasepił się generał, powiada do mnie:

— Zostań u mnie przy sztabie, ja tu nie mogę się nikim wyręczyć, nikt nic nie robi, a trudno samemu wszystko załatwiać.

— Generale, odpieram, ja na sztabowca się nie nadaję, a przytem mam powierzoną funkcję formowania znacznego oddziału. — Nawet gdyby komitet wyznaczył zastępcę, to i tak upłynęłoby dużo wody nimbym się wdroył w służbę.

Próbował jeszcze Taczanowski zatrzymać mnie w obozie, ofiarując mi 2-gi pułk sieradzki, którym dowodził Rembowski. — Odmówiłem, raz dlatego, że powiedziano później, że dla szlif wyrugowałem starego żołnierza, potem byłem przekonany, że przysłużę się lepiej naszej sprawie, gdy przyprowadzę generałowi 1200 ludzi gotowych do dalszego boju.

Ostatecznie otrzymałem rozkaz, abym wracał do Wilczy, oddział w dalszym ciągu formował i starał się przeprowadzić go jak najprędzej przez granicę.

— Stoją generale!

— To nie zgadza się z prawdą, oświadczam, bo ja przeszedłem przed chwilą linię, i spotkałem się tylko z pikietą w mieście — niech major siada na koń i rzecz zbada.

Kosmalski pojechał na rondę, ja tymczasem poszedłem do obozu znajomych przywitać. Ledwie stanąłem na rynku, a już zoczyłem przy szwadronie Rembowskiego Klemensa, mojego ciotecznego, także pułkownika Rembowskiego, dalej Miśkiewicza, Miłkowskiego, Maszadrę i innych.

A tu naraz trąbią na alarm! — słysząc krzyki, że Moskale idą.

Miśkiewicz mówi do mnie: dam ci moją gniadą, jedź z nami.

— Każ siodłać, odpowiadam, jestem gotów!

Wuj*) ze swej strony chce mnie w szable zaopatrzyć — dziękuję twierdząc, że to niepotrzebne, — najważniejszym narazie jest, aby czasu nie tracić i do szarży się przysposobić.

Strasznie trąbią, siodłają konie, a ja wale do sztabu, aby się dowiedzieć, co właściwie się dzieje.

I tam dowiaduję się, że to nie Moskale, ale Matusiewicz w 40 koni przyjeżdża do Chocza, chcąc połączyć się z oddziałem.

*) Pułkownik Rembowski.

bywam wplaw rzekę, a stanąwszy na drugiej stronie wołam:

— Idę teraz, panowie, na radę wojenną!

Niemcy, ilu ich tam było w śmiech — ja zaś w krzaki, gdzie na mnie komisarze już czekali.

Rozmówiłem się z nimi co do przenoszenia broni, ustaliłem dzień pierwszego transportu, poczem do kompanów moich przebywających za wodą wróciłem.

Dwa razy jeszcze użyłem tego sposobu — zawsze z dobrym skutkiem.

Przygotowania nasze trwają do połowy sierpnia. W tym czasie przemycamy za granicę broń i naboje, staramy się o moderunek, który już mamy dla trzech kompanji. Raz po raz posyłamy raporty do Taczanowskiego, naturalnie za pośrednictwem komitetu poznańskiego.

Ten ostatni przerzedza się coraz więcej z powodu aresztowań. Już kilka serji siedzi w więzieniu. — Niestrudzony Chłapowski (Adelus, Wł. Wierzbński*), Dr. Matecki krzątają się pilnie.

Najwięcej trudności sprawia nam kawalerja. — Formacja idzie bardzo opornie — konie odstawione do szwadronów są złe, niestosowne

*) Późniejszy poseł na sejm pruski i swego czasu także redaktor Dziennika Poznańskiego.

Nie tracąc czasu puściliśmy się z Chełkowskim w drogę powrotną. Narazie trudności żadnych nie było, zjawily się one dopiero, gdy posuwając się wzdłuż Proсны, stanęliśmy naprzeciwko Żegocina. Tu trzeba było rozebrać się i przejść przez rzekę, potem pełzać wzdłuż pszenicy i odszukać łącznego, który nas miał przeprowadzić przez placówki pruskie i odstawić do ogrodu dworskiego.

Udało się! — wieczorem byliśmy już w Wilczy. W kilka dni później znów pojechaliśmy do Żegocina. Zamiarem moim było widzieć się z Mieczkowskim i Gantkiewiczem. Kompanja piechoty i szwadron ułanów rozrzucone w dołbach Radońskiego, uniemożliwiały przeprawę przez rzekę. Biorę się więc na sposób — posyłam łącznego do Rudy, wyznaczając tym panom miejsce i godzinę spotkania się. Przez dzień cały bawię się z oficerami pruskimi — pijemy, gramy w kwindecza — jednym słowem, rozkosz, wesele!

Noc już zapadła, mówię tedy do oficerów Stwolińskiego i Drygalskiego:

— Wiecie Panowie, wartoby jutro rano wykopać się w Prośnie — to nam się przyda po „trudach” dzisiejszych.

Zgodzili się — nazajutrz o 8-ej wsiadamy na brykę i jedziemy ku Rudzie. W miejscu oznaczonem zsiadamy. Ja rozebrawszy się prze-

ca lunety obserwował, jak najpierw wyszła piechota i rozwinęła się w tyraljerkę — potem stanęli na jej skrzydłach kosynierzy w szuku batalionowym jako rezerwa. Na wzgórku zatoczono działa, a za nim stanął szwadron ułanów. Potem kończy:

— I wystaw pan sobie, komendant szwadronu podjechał pod działa a iak dali ognia, spadł z konia.

Na to zabieram głos i mówię:

— Przepraszam majora, ale nie spadłem, lecz pękł mi ramię u kulbaki i zsunąłem się na ziemię.

— A więc pan tam byłeś?

— Tak byłem.

Przyznaję, że popełniłem nieostrożność, czyniąc takie wyznanie, którego skutki mogłyby być fatalne. Jednakowoż w tej chwili uniósł mnie temperament.

— Nie bój się pan, rzecze Schmelcer, tu nie masz policji, a że się pan za kraj swój poświęcałeś w beznadziejnej walce, zaszczyt mu to przynosi.

Zapiliśmy tę sprawę, a korzystając z dobrego humoru majora, poprosiłem go o urlop dwudniowy dla jednego z oficerów, którego do siebie zaprosiłem, — dostał go bez trudu.

Nowego naszego towarzysza zawieźliśmy do Grąbkowa, a tam dolawszy go do reszty, pu-

do wojska — w krobskim powiecie znalazłem nawet kilka smarkatych. Krotoszyńskie zdobyło się bodaj tylko na 15 koni, gdy samo miasto 40 dostarczyło. Powiat obornicki miał dać również 40 koni, na które otrzymałem asygnację komitetu, ale nie widziałem ani jednego. Głównie wspiera nas pleszewskie. Kulbaki i przybory dla konnicy odbiera w Lesznie żyd Ohnstein i przez Krobkie do nas wysyła. Wogóle wszelki przewóz ogromnie był utrudniony, bo kraj strzegło wojsko.

Na dowód tego przytoczę tu mały epizod.

Tak się zdarzyło, że miałem odebrać 10 centnarów prochu w Rawiczu. Odebrać rzecz łatwa, ale jak je przedostać na miejsce. Jadę tedy w Krobkie i staję u Budziszewskich w Grąbkowie. Staś B. powiada do mnie:

— Jedźmy do Milicza, tam stoją ulani — znasz się dobrze z plackomendantem maforem Schmelcerem, wyprosisz oficera na urlop, a mając go przy sobie, zrobisz co należy.

— Pomyśl był dobry — udajemy się w drogę. W Miliczu stajemy w hotelu Rymoniego, gdzie jadali oficerowie. Wieczorem zasiadamy wraz z nimi do stołu — rozpoczyna się pijatyka.

Przy kieliszku oświadcza Schmelcer, że widział manewr powstańców pod Pyzdrami — pytam o szczegóły. Więc opowiada, że zapomo-

człowiek komenderował już brygadą w r. 1870 w randze generała, a nazywał się Zimmer. Dziś wystąpił z wojska i pędzi na Śląsku życie szczęśliwe wśród rodziny.

Ale wracam do rzeczy. — Taczanowski przysłała do nas 12-go sierpnia majora Miskiewicza z rozkazem, aby zebrać co się da ludzi i koni i oddać temuż oddział pod komendę — ma go następnie przeprowadzić do Królestwa.

Instrukcje i rozkaz były formalne — trzeba się było poddać konieczności, mimo, iż one krzyżowały zupełnie nasze zamiary, dotyczące przedostania formacji przez granicę.

Ja, mając „carte blanche” do działania, zażądałem rady wojennej. Odbyła się ona w Trzebiniu, folwarku należącym do p. Jordana, a położonym w powiecie krotoszyńskim. Brał zaś w niej udział: Miskiewicz, naczelnik Chel.*), Wł. Z.***) naczelnik powiatu i ja.

Na radzie tej zaznaczyłem, iż tak pospieszne poczynanie do celu nie prowadzi, rozbiła organizację, niszczy kadry oficerskie, dalej że naraża na wielkie ryzyko oddział składający się z 1200 ludzi, redukuje wreszcie ilość koni, których w pełnej liczbie nie będzie można w przeciągu 36 godzin dostarczyć.

*j) Chelkowski.

**j) Zakrzewski.

ściliśmy się z nim w dalszą drogę rozstawniemi końmi przez Koźmin, Pleszew do Turów*].

Każdy spotkany patrol meldował się oficerowi i puszczał nas bez rewizji. — Oficer zaś nie wiedział i nie wie dotąd, że przez cały ten czas siedział na 10 centnarach prochu, który potem szczęśliwie za granicę się dostał.

Nie mogę też pominąć milczeniem szlachetnego czynu pewnego majora niemieckiego, który dawniej razem ze mną w 1-szych ułanach służył, a następnie do sztabu generalnego w Poznaniu należał. Odnosił on się zawsze do mnie z wielką przyjaźnią.

Raz dostał na mnie denuncjację, w której twierdzono, że zamiast do wód, pojechałem do Królestwa. Otóż w referacie swym zaznaczył on, że nie zgadzało się to z rzeczywistością, ponieważ w początkach maja bywałem u niego w Poznaniu, przeto w obozie przebywać nie mogłem.

Istotnie po 8-ym maja odwiedzałem go kilka razy, wiedział jednak, że byłem z Taczanowskim, bo mu wśród rozmowy o rozmaitych zdarzeniach opowiadałem. — Cieszył się nawet, i powodzenia winał. — Niemniej referował na moją korzyść, iż siedziałem u ojca, mieszkającego wtedy w Poznaniu. Ten pocziwy

*) Majątek położony nad Prosną, który wówczas do autora pamiętników należał.

DZIEŃ 15-go SIERPNIA.

Po zapadłej uchwale na radzie wojennej, zaczęliśmy natychmiast rankiem 14-go sierpnia krzątać się około postanowionej wyprawy. Konie rozdano ułanom i zamianowano podoficerów. Ja pojechałem do Żegocina, aby wybrać stosowne miejsce. Tam nie dostrzegłem pomiędzy pruskim wojskiem żadnego ruchu, któryby na coś niezwykłego wskazywał. O tem dałem znać organizacji narodowej koźmińskiej, gdyż komisarz wojenny Adam Mieczkowski bawił wówczas na pograniczu w Rudzie.

Zjadłszy obiad wybrałem miejsce, a o 7-el już byłem w leśniczówce Żegocińskiej — niebawem nadjechał Miśkiewicz. Czekamy tedy z niepokojem na dalszy rozwój sprawy. Dla ścisłości dodaję, że mieliśmy się przeprawić przez Żbiki do Obor w Konińskim.

Wtem około godziny 9-ej wieczorem przynosi mi służący z Żegocina karteczkę od Mieczkowskiego mniejwięcej tej treści:

— Moskale uwiadomieni o wymarszu, obsadzili szczelnie granicę — przejść dzisiaj niepodobna.

Miśkiewicz pokazał generalną plenipoten-
cję, musiałem ulec. Oświadczyłem jednak, że
przeprowadzę oddział aż za granicę, a potem
przy pomocy Boskiej powrócę do dalszej pra-
cy organizacyjnej.

Stało na tem, że Naczelnik towarzyszyć
będzie oddziałowi, ja zaś miałem miejsce prze-
prawy wyszukać.

Pojechałem skutkiem tego bezzwłocznie
nad granicę, aby się znieść z komisarzem gran-
icznym, a Chełkowski zajął się zebraniem
drużyny.

Z oficerów przeznaczonych do piechoty ma-
ło nazwisk pamiętam — z kawalerji mieli u-
czesniczyć: Rychłowski, mój brat*), Miłkow-
ski Andrzej, Chłapowski Ludwik, poza tem
wielu jeszcze ochotników, w której liczbie znaj-
dował się też późniejszy poseł Potworowski**).
Było również coś emigrantów i coś Francuzów.
Z pierwszych Waligórski, z drugich Lavouset,
któremu zresztą źle z oczu patrzyło.

*) Stanisław Z.

***) Gustaw P. z Goli.

chodzący gwar zdradza pobyt znacznego oddziału wojska.

Wracam pośpiesznie do Miśkiewicza i raportuję com widział, dodając:

— Może zechcesz przeprowadzić się przez Robaków, albo suchą granicą przez Kuchary pod Kaliszem. Niebezpieczna to sprawa, ale jeśli chcesz ryzykować, to dalej! — ja ci służę, bo znam kraj.

Miśkiewicz znowu jęknął i powtarza:

— Co tu robić, co robić — daj rozkaz odwrotu, a mnie ratuj!

— Daj ty rozkaz, oświadczam, bo przy tobie komenda — potem jeżeli zechcesz przewiozę Cię w bezpieczne miejsce. —

Nie mógł się na nic stanowczego zdecydować, twierdząc, że go nikt nie zna, nikt go nie usłucha. Potem znów:

— Daj rozkaz na Boga, a mnie ratuj.

Nie było innej rady — wsiadłem na konia i pojechała ratować co się dało. Nieopodal spotkałem jeden oddziałik naszych. Byli tam między innymi Chłapowski, Rychłowski, Waliński i mój brat. Mówię im, że przeprowadzić się dzisiaj nie można i polecam, aby każdy powrócił do swej kwatery i czekał na dalsze rozkazy. — Rozeszli się otrzymawszy instrukcję, aby nawracali wszystkich tych, którzy ku granicy dążyli.

Pokazuję tę depezę Miśkiewiczowi i pytam:

— Co ty na to?

— Skaranie Boże, co ja pocznę, jęczy mój towarzysz, — mnie schwyca, a Moskale wyznaczycyli 5000 rb. na moją głowę. — Co ja pocznę!

— Tu chodzi o to, co się stanie z oddziałem a nie z tobą, odpowiadam. — W pierwszym rzędzie sprawa, a potem dopiero człowiek. Mów więc, czy prowadzisz oddział, czy nie potrzeba dać stosowne rozkazy.

Miśkiewicz traci głowę, nie wie co robić — tak zawsze bywało, gdy zaszło coś niespodziewanego. Siadam więc na mojego srokacza (pochodził od p. Żychlińskiego z Twardowa, a był tak ścigły i zwrotny jak rzadko się to zdarza) i pędzę nad granicę oddaloną o jakie pół mili.

Jadąc, dziwię się, że nie spotykam żadnego posterunku pruskiego — nie stawiono nawet jak zwykle, placówek między Żegocinem a Żbikowem. Dojeżdżam do Prosny, a że księżyc świecił w pełnym blasku, dostrzegam po drugiej stronie rzeki kilku ludzi konno... byli to kozacy.

Posuwam się jeszcze dalej, zawsze nad Prosną w kierunku Chocza — tam stoi rosyjska grangarda, a za nią w biwaku Moskale. Pałają się drobne ognie, zapewne jeść warzą, — do-

drogi. — Gdy minęliśmy wieś, pyta nas woźnica dokąd ma jechać, czy przez Witowskie Olędry, czy przez Kotlin^a). Miśkiewicz powiada:

— Zlituj się nie przez Olędry, bo nas złapiał

A ja mu na to:

— Właśnie przez Olędry, ponieważ tam niema wojska!

Jedziemy więc w tym kierunku, aż tu naraż zastępuje nam dwóch Niemców drogę. Jaż zaknę po niemiecku i krzyknę aby się usunęli, bo spieszę się do komisarza obwodowego w Jarocinie, tak olędrów strach ogarnął — przepuścili. My zaś jadąc przez bór jarociński, a potem zakrzewski, dostaliśmy się szczęśliwie do Trzebinia.

Poruczywszy Jordanowi opiekę nad Miśkiewiczem, mówię temu ostatniemu, że mam zamiar jechać z raportem do Poznania, lecz że nie wiedząc co się z Chełkowskim stało, wstąpię poprzednio do Wilczy.

On na to: — słusznie robisz, ale zabierz i mój raport.

Otrzymawszy od niego list zapieczętowany, puściłem się na wywiad do Wilczy. Tam Naczelnika nie zastałem, gdyż aresztowano

^a Powiedziano mi, że celem poróży jest Jarocin.

Spotkałem się jeszcze z inną formacją, w której znajdował się G. Potworowski. Tej potworzyłem ten sam rozkaz, poczem wróciłem do Miśkiewicza.

Gdym go wśród zarośli odszukał, słychać było już szcęk pałaszy, tentent koni i głosy niemieckie „trzymaj”.

Nie czekałem już dłużej i wsiadłem z Miśkiewiczem na brykę, a znając las żegociński jak własną kieszeń, kazałem skrócić woźnicy na prawo w zagajenie, a potem jechać przez łączkę do Sławoszewa, gdzie mieszkali bracia Broekere.

Zajeżdżamy przed oficynę i застаіemy ich na nogach. Jest tam też Lavouset i kilku drobnej ryby powstańczej. — Powiada Broekere:

— Rozmów się pan z Francuzem, bo nie mogę się dowiedzieć czego on chce i skąd się wziął. —

Jak już poprzednio wspomniałem, nie miałem wielkiego zaufania do tego człowieka. Pyta mnie jak się nazywam i z kim przyjechałem. Pytanie to uprzedziło mnie jeszcze bardziej do niego.

— Nic nie odpowiadam i czynię się nieświadomym języka francuskiego.

Przewidując jednak, że z tego spotkania nic dla nas dobrego nie wyniknie, poprosiłem gospodarza, aby nam dał konie do dalszej

powiednią pracę. Ale jemu chciało się wkroczyć do Królestwa na czele oddziału, nie mogąc pozbyć się ambicji i widoków dalszego awansu.

Po przeczytaniu listu oddaję z zimną krwią mój raport z przyłączoną depeszą Mieczkowskiego i mówię:

— Jeżeli pan wierzysz twierdzeniom Miśkiewicza, to nie potrzebuję się tłumaczyć.

Chłapowski jednak odzywa się:

— Słucham sprawozdania.

Więc od początku zdałem szczegółowe relacje z wydarzeń, podając równocześnie świadków i dowody na piśmie. Zarazem poprosiłem o śledztwo i sąd. Prośba moja przyjęta została — późniejsze wypadki jednak nie pozwoliły na wykonanie tego postanowienia.

Niebawem po powrocie Miśkiewicza do Taczanowskiego była sprawa pod Ochędzynom, potem utarczka pod Złoczowem, a w końcu nieśczęsna bitwa pod Kruszyną, gdzie prawie bez boju całe dwa pułki ułanów sromotnie rozbito. Dodać wszelako muszę, że jeszcze przedtem, po usunięciu Rembowskiego, dostał pułk sieradzki Malusiewicz a Miśkiewicz objął komendę nad 1-szym kaliskim. Rembowskiego postawiono do Wrocławia, celem sprawdzenia rachunków, nabywania prochów i amunicji. Był tam pierwotnie Bleszyński, potem Samorski, który wprowadził rachunki od tamtego w porządku odebrał, lecz później z kasą za granicę drapnął.

go w Kalinie wraz z Miłkowskim, Chodackim i wielu innymi.

Pocieszam jak mogę panią Chełkowską, przedstawiając jej, że mężowi w więzieniu żadne niebezpieczeństwo nie grozi. Ale zacna Polka złażała mnie porządnie za te słowa porciechy. —

— Co pan sobie myśli, powiada, że ja grałam komedię poświęcając go dla sprawy? Że mogę patrzeć obojętnie na to jak niszczy się oddział, na którego czele stał mój mąż? Pan sądzisz, że ja o sobie tylko myślę — to taki z pana Polak... i t. d.

Zaimponowała mi ta kobieta, która z taką zimną krwią gotowa była spełnić dla kraju ofiarę z najświętszych dla serca uczuć. — Cześć jej pamięci, pokoi jej pięknej duszy!

Z Wilczy odesłano mnie do Siedlemina. Stamtąd, jadąc przez Brodowo Szoldrskiego i Środę, przybyłem w nocy, w czasie najokropniejszej burzy jaką pamiętam, do Poznania.

Raport zdać mogłem dopiero nazajutrz dnia 16-go sierpnia — przyjął go Chłapowski z Turwi. W moich oczach przeczytał pismo Miśkiewicza i dał mi je następnie do przejrzenia. Struchlałem, p. Miśkiewicz donosi o nieudanej przeprawie oddziału, składając całą winę na moją złą wolę i niechęć ku niemu. Utrzymuje dalej, że można było wszystko uczynić, gdyby komisarz-graniczny zadał sobie od-

Raz jeszcze brałem udział w radzie wojennej, na którą mnie jako starego oficera zaproszono. Chodziło o to, kiedy i jak ma się wybrać Budziszewski do Królestwa. W radzie tej zasiadali prócz Budziszewskiego: Kopernicki, Grabiński, jakiś pan z Warszawy, którego nazwiska nie pamiętam i ja.

Ziechaliśmy się w marcu r. 1864 w Dusinie. Uradzono istotnie, aby oddział wyszedł. Ja opierałem się temu postanowieniu, twierdząc, że rzucanie 100 ludzi w paszczę nieprzyjaciela niema podstawy. — Zakrzyczano mnie, zaznaczając, że tu chodzi o podtrzymanie powstania, celem wywołania interwencji narodów europejskich. Na to odparłem, że skoro tysiące ofiar składanych przez przeszło rok na ołtarzu Ojczyzny nie spowodowały tej interwencji, to Budziszewski ze swoimi 100 końmi też nic nie zrobi.

Poszedł jak mu kazano, ale nawet do Piętrzykowa*) nie dotarł. Otoczyli go Moskale zaraz po przejściu granicy. Zaczęła się gonitwa i wkrótce z 80 ułanów zostało się 5-ciu, mianowicie on sam, jego ordynans, Iłowicki, A. Nejmann i Leon Karłowski.

*) Wieś położona o kilka kilometrów na wschód od Pyzdr.

Po wyjeździe Taczanowskiego, zmieniła się znacznie postać rzeczy. Formacja drugiego oddziału pleszewskiego wzięta w łeb. Nie było już łączności z Kaliskiem, nie wiadomo dokąd nowe oddziały prowadzić.

Wyłapali też Prusacy oficerów z takim frudem zwerbowanych, wyłapali też komitet poznański.

Powstała wprawdzie niedługo potem nowa organizacja, ale ja wzięłem dymisję, czekając lepszej sposobności służenia Ojczyźnie.

Pod koniec roku zaczęto formować oddział Budziszewskiego i zebrano coś około 120 koni. Ale i tych sił nie można było przed wiosną za granicę wyprawić.

Z Warszawy przysłano pułkownika Kopernickiego, dawniejszego żołnierza rosyjskiego. Z osób, które wraz z nim w Komitecie poznańskim zasiadali, wyliczam tylko Wierzbńskiego (dla spraw wojskowych), Szuldrzyńskiego (dla spraw cywilnych*), Skarb, o ile się nie mylę, powierzono drowi Świderskiemu**).

*) Zygmunt S. z Lubasza.

***) Autor myli się co do osoby skarbnika. Był nim rzeczywiście Z. Szuldrzyński z Lubasza. Poza tem zasiadali w Komitecie: Bogusław Lubieński z Książyna Leon Węgner i major Rotkiewicz. Posiedzenia Komitetu odbywały się u panien Danysz, w ich mieszkaniu przy ulicy Małe Garbary.

Zanim zaabonujesz
jakieś czasopismo,
zażądaj
okazowego egzemplarza

Dziennika Poznańskiego

zapoznaj się z treścią,
porównaj z innymi
pismami, a wtedy nie
będziesz miał wąpli-
wości, że

Dziennik Poznański

to najpoważniejsze pismo
polityczne na ziemiach
zachodnich Polski

nie mógł oczywiście Budziszewski stawić czoła Moskwie z takim zastępem. Ale pokazał sztukę, że gnany przez 48 godzin przez Kozaków, powrócił do domu zabiwszy ich nie mało.

Był to ostatni oddział, który z Księstwa na powstanie wyruszył, a w Dusinie ostatnia moja czynność powstańcza.

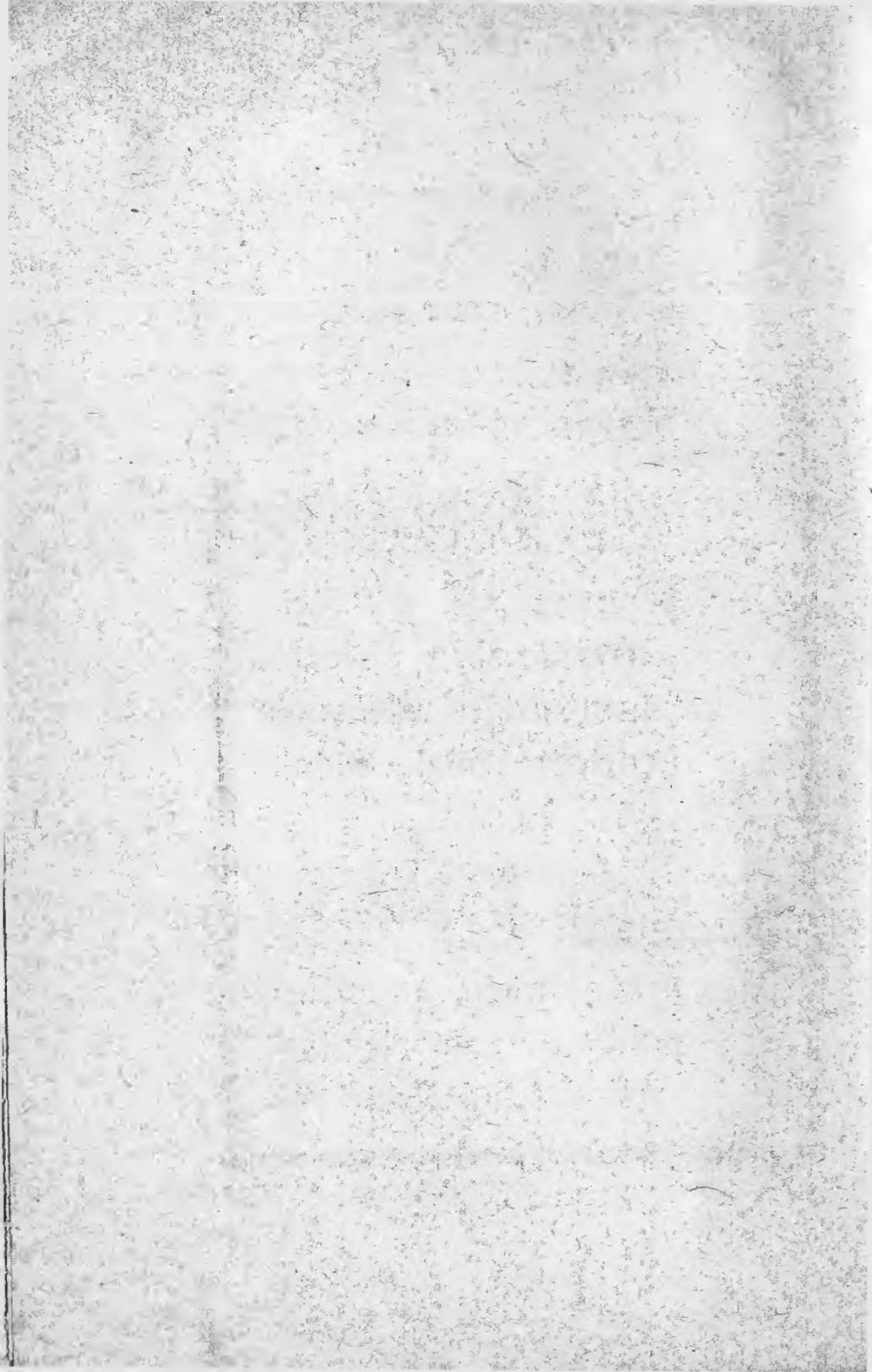
KONIEC.

Wytworne dzieła

naukowe
beletrystyczne
dzienniki
tygodniki
miesięczniki
oraz wszelkie inne prace
w zakres drukarstwa
wchodzące
wykonuje terminowo

Drukarnia
Dziennika Poznańskiego

Poznań, ulica Pocztowa 9
Telefon 33-90



Co miesiąc

bezpłatnie

dajemy jedną książkę
jako premję dla abo-
nentów, aby umożliwić
wzbogacenie biblioteki
o 12 tomów rocznie.

• Zaabonuj

Dziennik Poznański

a i Ty będziesz mógł
korzystać z tej premji.

